

KUŹNICA

Rok 2

Łódź, 10 grudnia 1946

Nr 48 (66)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

JEDNA Z CZTERECH WOLNOŚCI... „WOLNOŚĆ OD STRACHU”



Faszystowska organizacja amerykańska Ku-Klux-Klan w akcji przeciwko Murzynom w U. S. A.



JAN KOTT

ANDERSOWCY

List Józefa Łowina

Szanowna misja Polska!

W moich słowach żołnierskich zwracam się do misji i chcę się przystawic kto ja jest i o co chodzi. Z Polski pochodzę i tam się urodziłem, powiat Lida, gmina i poczta Wielice, wieś Bojary, rocznik 1911, syn rolnika. Ojciec umarł w roku 20, Matka ojca w Bielicy, pracowałem na roli. Po Ojcu została gospodarka 3 ha, w ostatnich latach byłem gajowym przed wojną u Hrabiego, tam byłem koło Narocza zostałem powołany do wojska do Lidy 39 roku, na froncie nie byłem, bo nie zdążyłem, po upadku polskich sił wróciłem do gajówki Hrabiego, tam byłem do 40 roku. Od 10.11.40 roku byłem na wstocznym Kazakstanie. W Rosji wstąpiłem do wojska i wyjechałem do Palestyny. We Włoszech całą aktywność przeszedłem aż do końca, byłem kierowcą. Teraz chcę wrócić do kraju, ale nie wiem czy mogę, bo nikt z nas dobrze nie wie co tam jest. Tę wojska mam dość i apeluję do Was, że co ja do Was pisać, to nie ogłaszać publicznie, bo ja mogłem pożegnać ten świat, gdy moja władza dowie się. I spodziewam się, że tego nie uczynicie, bo zgnać to niedługo u nik, ja wojnę przetrwałem i byłem ranny i teraz zaginać to bolesnie. Chciałem przyjechać do Was, ale nie wolno do Zymu jechać, proszę Szanownej misji, niech to zostanie między nami, nie myślacie, że tak łatwo jest jechać jak to mówią, zobaczcie dobrze jak to się robi w szeregu i co gadać do nas. A ja za swój wysiłek to nie niemię, a oni tylko sobie pas dekorują i awansy biorą, a dla nas po całym Włoszech tylko krzyży drewniane i więcej nie. Oto nasza zapłata, murzyn zrobił, teraz może odejść, jak to przysłowie mówi. Prosiłbym, o ile dacie odpowić, na mój list, to piszcie na adres cywilny, bo ja mogę nie dostać na pocztę wojskową gdy wysłacie.

6 lutego 1946. Ascola Picena.

Kanonier Łowin Józef,
Polish Forces C. M. F. 172

DLACZEGO NIE WRACALI?

D Takich listów czytałem dużo. Jest w nich zawarta ta sama surowa i bezwzględna prawda o losie ludzkim, o jakiej mówili wydane przed wojną „Pamiętniki Chłopów”. Są to wszystkie dzieje ludzkie oczyszczone z przypadku, określone, ubite przez historię. Obowiązuje w nich prawo wielkich liczb. Miara krzywdy jest jedna, wyznacza ją bez żadnej reszty typowa sytuacja społeczna. Jest to historia chłopów, który po ojcu dostał 3 ha ziemi i poszedł pracować do hrabiego. To wszystko. W tej historii nie ma miejsca na to, o czym myślał kanonier Łowin Józef, kogo kochał, czy był skąpy i pracowity, czy też czytał i jakie czytał książki. Ale nie mówcie mi, że są to dzieje tych, którzy zawsze byli mierzwą i nawozem historii. Miara krzywdy i miara cierpienia ludzkiego jest równie konkretna, historyczna, jak konkretna i historyczna była sytuacja społeczna małego chłopca spod Lidy Józefa Łowina, który został żołnierzem Andersa.

Aby kanonier Józef Łowin musiał pisać: „tego wojska mam dość”, aby kanonier Józef Łowin w rok po odzyskaniu Niepodległości nie mógł wrócić do kraju, musiał działać określony i konkretny system gwałtu, przemocy i kłamstwa. Ten system działał. „Apeluję do Was, że co ja do Was pisać, nie ogłaszać publicznie, bo ja mogłem pożegnać ten świat”.

Dlaczego nie wracają?

Zeznanie strażnika Szutarskiego Franciszka z dnia 19.1.46.

W miesiącu wrześniu zostali aresztowani i odesłani do 3 Sądu Polowego za wyrażenie chęci powrotu do kraju następujący żołnierze:

1. Zac, Krupa z 3 DSK, skazani na trzy lata więzienia,
2. Kieler z kawalerii, skazany na 8 miesięcy,
3. Dorda z I brygady 3 DSK skazany na 1 rok,
4. Zieliński z I PA, skazany na 6 miesięcy,
5. Kielpurski z I brygady 3 DSK.

Meldunek kanoniera Molendy Władysława.

Melduję, że do obozu w Corvinata przybyłem 19.12.1945 r. Podczas mego pobytu w pulku w 3 Dywizjonie w dniu 14 grudnia 45 roku został zastrzelony st. ogniomistrz Kulpiński Franciszek. Zastrzelił go ogniomistrz Zapolski. Powodem śmierci st. ogniomistrza Kulpińskiego był list od żony z Polski, która dała mu znać, że żyje i 4 dzieci pozostają zdrowe. St. ogniomistrz Kulpiński wyrażał radość z powodu wiadomości i oświadczył, że musi wrócić do domu. Powiedział to oficjalnie wobec żołnierzy Baterii 7-ej w dniu 10.12.45 roku. Zapolski Piotr, ostatnio, t. j. dwa dni mieszkał z Kulpińskim na prywatnym mieszkaniu u Włochów w San Sewerino. Po powrocie z miasta Zapolski po kilku słowach, przecząc powrotowi do Polski, oddał trzy strzały, jeden w głowę i dwa w pierś. W tym momencie Kulpiński trzymał włoskie dziecko na kolanach. Zamordowany został pogrzebany w Loretto.

Gdyby Zapolski nie został usunięty, żołnierze z Dywizjonu złinczowaliby go na miejscu. Ogniomistrz Kulpiński był przez wszystkich żołnierzy dywizjonu szanowany i lubiany.

Kanonier Molenda Władysław
7 Pulk Art. Panc. z Dyw. Warszawski

Meldunek st. ogniomistrza Szczepana Koralewicza.

Służyłem w brygadzie karpackiej. Przebyłem z nią całą kampanię libijską, w czasie której byłem dwukrotnie ranny, wskutek czego jako inwalida zostałem przydzielony do prac kancelaryjnych w sztabach jednostek etapowych. Mimo swojej służby frontowej i odniesionych ran, gdy w dniu 22 sierpnia 1945 roku zgłosiłem się urzędowo do moich władz, że pomimo wezwań z ich strony do nieopuszczania szeregów postanowiłem wrócić do kraju, natychmiast rozpoczęła się ze mną gehenna, poprzedzająca odesłanie mnie do obozu repatriacyjnego w Suez.

„Stan wojskowy jest nieszanowniejszy, kiedy żołnierz przelewa swą krew za ojczyznę; tenże żołnierz staje się najemnikiem, skoro nim inne powodują widoki...”

General Kniaziewicz

TREŚĆ NUMERU:

JAN KOTT —
ANDERSOWCY
STANISŁAW WYGODZKI — wiersze —
DATY
ZEGAR SŁONECZNY
HENRYK EILE —
O DATĘ PREMIERY
ZYGMUNT JAN WYROZEMBSKI
PRAWDA GOSPODARCZA W ZACZAROWANYM KRĘGU
PAWEŁ HERTZ —
UCIECZKA Z KRAINY LAMBERTÓW
KANDYD
TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK
JOHN BERTLOW MARTIN —
PIERWSZE POWOJENNE LATO
MIASTA MUNCIE
KAZIMIERZ BRANDYS —
PASJA I KUNST
EDWARD CSATÓ —
„PAN DAMAZY” NA SCENIE
ŁÓDZKIEJ
EDWARD SZUSTER —
DOBRE SERCE DOKTORA
MUNTHE
KORRESPONDENCJA
PRZEGLĄD PRASY
NOTY

Otóż w pierwszym rzędzie wezwał mnie podpułkownik do swojej kancelarii i zażądał ode mnie zmiany decyzji, strasząc mnie konsekwencjami za złamanie przysięgi i rozmyślnie opuszczenie szeregów wojskowych. Gdy odmówiłem zmiany decyzji, natychmiast mnie rozmundurowano, zdjęto ze mnie pas, jak z jeńcy i w przeciągu 15 minut odwieziono mnie z oddziału do miejsca odosobnienia, które miało być punktem zbornym dla zdrajców, bo tak mnie od tej chwili tytułowano. Miejsce zborne dla zdrajców było zaizolowane jedynie po to, by przychodzili tam specjaliści oprawcy z nożami lub kijami i nawracali zdrajców na prawowierność.

Odwieziono mnie z powrotem do oddziału, oddano mnie pod opiekę asów dwójki i zabroniono mnie pod groźbą zamknięcia w więzieniu wypuszczania pary z ust, o tym, co ze mną zaszło. W nocy z 27 na 28 sierpnia rozpoczęto komedię mundurową, która trwała do samego rana. Raz umundurowano mnie, to znowu za 15 minut rozmundurowano i tak dręczono mnie całą noc starając się w jakikolwiek sposób mnie sprowokować by następnie oddać mnie pod Sąd Polowy i skazać na kilka lat więzienia. W rezultacie wysłano mnie z obozu w Quessassin do Suez w jednej letniej koszulce w jednych spodniach dresowych tak, że dziś od przeszło pięciu tygodni nie mam bielizny na zmianę.

Niektórzy spośród będących w obozie sueskim przeszli jeszcze więcej. Najgorsze, co nam wyrządzono, to więzienie w nasze szeregi kilkunastu zawodowych kryminalistów, wypuszczonych specjalnie z więzienia po to, aby nas okradali, i rozsadzali karność, spistość i dyscyplinę w obozie repatriacyjnym. Z osobnikami tymi nie możemy sobie dać rady sami. Nam, starszyźnie obozu grozili nożem w plecy.

Od czasu ujawnienia możliwości powrotu do kraju odebrano wszystkim broń. Z rozkazu gen. Wiatra sporządzono plan samobrony (L. dz. 106/T jn), który w wy-

padku zbiorowej manifestacji, pragnących wrócić do kraju, przewiduje użycie czterech plutonów asystencyjnych dowódcy z instrukcją użycia broni palnej, bez względu na ilość ofiar. Plan ten leży w załączonym kopercie u oficera inspekcyjnego garnizonu w Quessassin i ma być wykonany na rozkaz gen. Wiatra, względnie płk. Michałka, płk. Niementowskiego, płk. Talikowskiego. Rozkaz opracował mjr. Józefczyk. Według tego planu plutony pogotowia czuwają dzień i noc i mogą być użyte w każdej chwili, gdyby nastąpiła manifestacja.

St. Ogn. Koralewicz Szczepan
Transit Camp. Egipt Suez

Protokoły zeznań w szpitalu polskim
w Obozie Repatriacyjnym w Cervinara.

Zeznanie strz. Piecyka Józefa.

Na cztery dni przed wyjazdem do obozu repatriacyjnego pod pozorem nieopuszczania rękawów, został pobity strzelec Piecyk Józef przez żandarmerię w Mazerata. Po uprzednim powaleniu go na ziemię tłuczono głową jego o mur. Następnie postawiono go pod murem grożąc zastrzeleniem z Thompsona i wykrzykując przy tym: Polski ci się zachciewa, ja ci dam Polskę. Po tym strzelec Piecyk zamknięty został na przeciąg 24 godzin.

Zeznanie strzelca Chlebowicza Franciszka.

W końcu lipca 1945 roku w Mazerata, na skutek propagandy szerzonej w II Korpusie przeciwko wyjeżdżającym do Polski zastrzelił się szeregowiec Kowka z 24 komp. zaopatrzenia, pluton C. Zmarły pozostawił żonę i 2 dzieci. Świadkowie: August Eile i Paweł Malinowski. Zgłaszających się na powrót do kraju straszone, że będzie się im wycinać pięcioramienną gwiazdę na czole.

System.

Dlaczego nie wracali? Dlatego, że w ciężkim więzieniu II korpusu Mazerata bi to równie wprawnie i równie bezwzględnie jak przed rokiem 1939 w polskiej defenzywie, dlatego, że w więzieniu w Fermo, choć pod słonecznym niebem włoskim, głodowano jak niegdyś we Wronkach, Piotrkowie czy Fordonie. Dlatego, że działał ten sam aparat wywiadu, żandarmerii i sądów polowych, ten sam policyjny system, który w r. 1924 zgniótł ruch mas ludowych, w roku 1928 złamał ruch robotniczy, w roku 1936 zdusił ruch chłopski.

Tydzień prasy włoskiej.

Jest jeszcze druga sprawa. I znowu niewiele tutaj znaczy charakter, przekonania, czy wartość osobista jednostki. Sytuacja społeczna określiła miary krzywdy, poniżenia i cierpienia żołnierzy Andersa, określiła ich los indywidualny. Ta sama sytuacja historyczna równie bezwzględnie i okrutnie wyznaczyła im rolę społeczną jaką odegrali we Włoszech. Generał Kniaziewicz, który znał gorzkie doświadczenie legionów Dąbrowskiego, pisał w roku 1800: „Stan wojskowy jest najszanowniejszy, kiedy żołnierz przelewa swą krew za ojczyznę; tenże żołnierz staje się najjemnikiem, skoro nim inne powodują widoki...”

Ten sam strzelec Walczak, czy kanonier Borek, który rozbijał manifestacje socjalistów czy komunistów, demolował lokale partyjne, wrzucał granat do siedziby związków zawodowych, woził oliwę z poludnia na północ, szmuglował „kasztany” czyli złote funty z Egiptu do Włoch lub żył z prostytucji dziewcząt włoskich, ten sam strzelec Walczak czy kanonier Borek, chłop spod Lidy lub leśnik ze Stanisławowa, gdyby wrócił z pierwszą dywizją do Polski, orabiałby ziemię poniemiecką pod Kamieniem czy Kładzkim lub pomagał dzielić pańską ziemię wiosną 45 roku. Miarą krzywdy i miarą godności, obiektywną i sprawdzalną miarą indywidualnych losów tysięcy istnień ludzkich jest zawsze i tylko ustrój społeczny.

Nie wybierałem i nie odrzucałem tych wycinków z prasy włoskiej. Przeglądałem jedynie prasę włoską w ciągu tygodnia i przepisywałem, co piszą tam o Polakach.

Musimy wiedzieć, dlaczego ogromna masa żołnierzy Andersa wraca do kraju dopiero po dwóch latach drogą poprzez Anglię, poprzez baraki, jakie zostały wolne w Szkocji po zwolnionych jeńcach niemieckich. Musimy wiedzieć również co



Czarny rynek rzymski w satyrycznym tygodniku włoskim.
Rzymianie, Jugosłowianie, Czetnicy, Polacy, Niemcy itp. handluje walutą, złotem i narkotykami.

Włosi myślą o tej armii i dlatego, jak pisze z goryczą Zygmunt Nowakowski („Nurtu ciąg dalszy”): „Włoch ma się dać prześcignąć w niewdzięczności np. Holendrowi? Dlaczego ma zachować Polaków we wdzięcznej pamięci, skoro tego

Polaka przeklina np. Szkot lub Norweg? Jeśli Amerykanin bije Polaka w Niemczech dlaczego Włoch ma Polaka głaskać? Jeśli pod każdą szerokością geograficzną, wszędzie w każdym kraju sprzymierzonym czy neutralnym spotyka wrogi stosunek,

STANISŁAW WYGODZKI

Daty

Bogatszy o wiele, wiele dat,
o wrześniu, sierpniu, październiku,
poniosę brzemień ciężkich lat
niepodzielonych więcej z nikim.

Minioną radość, dawny ból
przypomnę kwietniu, listopady,
widoki obcych drzew i pól
i drogi obce i owady.

Te daty mi zapadły w głębi
stycznio, marcu, mroźnych grudni,
a w lipcu ciągnie od nich ziąb,
jak dla spragnionych w cieniu studni.

Zegar słoneczny

Z wszystkich zegarów zeszlowiecznych,
z wież kościelnych, baszt, ratuszów,
najbardziej wzrusza
napowietrzny
wśród wielorakich barw
zodjaku.

Na jasnej ścianie mego domu,
na szyć, strmo,
pod okapem,
wśród cyfr arabskich i wśród znaków
sztaba wbita w środek tarczy
nabija słonce,
grożąc gromom.

A słonce wędrujące wolno,
jak ja w południe drogą pełną
omija wszystko i okraża
i tych co błądzą i tych co dążą
i cieniem ledwo dostrzegalnym
zahacza o żelazną sztabę
przed Rybą, ale tuż pod Krabem
i czas wyznacza i wymierza
dla lasu i nadbrzeżnej trzcin,
dla kwiatu, pszczoły i dziewczyny
i dla rannego żołnierza.

I w przemijaniu i krajeniu
to dzień — a noc jest bezczasowa,
odległa, cicha, bez wahadła —
z księżycem jasną tarczą spadła,
ja pozostałem i tkwię w cieniu.

A strmo, strmo, pod okapem
gdzie mrok się pogryzł z blaskiem sinym
nad Panną Lew podnosi łapę,
jak cień co przemleża godziny.

dlaczego we Włoszech polscy „liberatori” mają cieszyć się sympatią miejscowej ludności?”

Dlaczego? O nie dlatego, że jak pan pisze: „Świat sparszywał jego przykazanie jest krzywdą jego hasłem nienawiść jego religią podłość”.

O, nie dlatego! Dlaczego zupełnie innego. Oto tytuły i wycinki z jednego tygodnia prasy włoskiej.

Avanti (Rzym): „Polska Zbrojna” na szlakach tytoniu. Żołnierze Andersa są pierwsi jeśli chodzi o wyrób i sprzedaż fałszywych papierosów.

L’Ora der Popolo (Palermo): „Salerno ogłoszone „out of bounds” (miastem zakazanym) dla żołnierzy polskich w związku z zajściami wywołanymi przez żołnierzy z korpusu w tym mieście”.

Il Lavoratore (Triest): „Polacy Andersa i Czetnicy zamęczają spokój publiczny”.

Il Quotidiano (Dziennik akcji katolickiej Rzym): „Żołnierze polscy kradną bydło”.

Il Minuto (Rzym): „Polacy drukują kontrabandę tytoniu”.

Risorgimento Liberale (Rzym): „Żołnierze polscy rabują bydło”.

Il Mondo (Florence): „Trzeba być czy nie trzeba być katolikami. Żołnierze polscy nie mają prawa prosić o gościnność i serdeczność ze strony Włochów o ile sami nie potrafią się zachować należycie w stosunku do ludności państwa, w którym są gośćmi.

„Espresso” (Rzym): „Diabelska amazonka i trzech Polacy terroryzują pociągi w Kalabrii”.

Il Quotidiano: „Wpadli w pułapkę. Banda Polaków napastujących pociągi”.

„La Gazzetta”: „Zdarzyło się w mieście w Monza. Tragedia miłosna w koszarach polskich”.

„Arena di Verona”: „Polak ginie w kłótni z cywilami”.

„Risorgimento Liberale” (Rzym): „Tragiczna miłość żołnierza polskiego”.

„Voce del Popolo” (Fiume): „Żona A. pod terrorem. Polacy, Czetnicy i Amerykanie przeprowadzają łapanie w mieście Doberdo”.

„Il Publico” (Rzym): „Mistrzostwo kontrabandy przechodzi w Apulii z rąk czetników w ręce Polaków”.

„Il Minuto” (Rzym): „Dowcipy Polaków. Pociski wystrzelone dla zabawy ranią śpiącą dziewczynę”.

„Unita” (Rzym): „Precz ze zbrodnia-rzami Andersa”.

„Avanti” (Rzym): „Polskie bestie mają broń”.

„Unita”: „Bez komentarzy”. Kapitan polski szef bandy, która ukradła 40 kwintali tytoniu.

„Nuovo Giornale d’Italia”: „Obrazki z nad Adriatyku. Opis plaży, na którą uczęszczają Polki z pomocniczej służby Po-
lek”.

„Unita”: „Zbrodniarze przy kierownicy”. Sierżant polski spowodował wypadek samochodowy”.

„Il Figaro” (Rzym): „Złodzieje włoscy i polscy atakują auto w Ferli”.

„Il Mattino d’Italia” (Mediolan): „Wojskowy polski zabity w czasie kradzieży opon lotniczych”.

„Risorgimento Liberale” (Rzym): „Niemcy i Polacy handluje narkotykami”.

„Liberta” (Piacenza): „Poszukuje się sierżanta polskiego, który uciekł z kasą całej brygady”.

„La Voce” (Neapol): „Kontrabanda polska”.

„Buonsenso” (Rzym): „Policja polska i włoska zatrzymuje ciężarówkę prowadzoną przez szofera wojskowego i sekwstruje 29 kwintali zboża”.

„L’Arena Di Verone”: „Kupiec zabity przez ciężarówkę polską”.

„Il Momento” (Rzym): „Jeniec walkirii polskich ucieka, wspomagany przez dziewczynę ze Lwowa. Niezwykła przygoda oficera rzymskiego”.

„Unita” (Rzym): „Czarny rynek pod namiotami Andersa. Ile kosztuje nas okupacja sprzymierzonych?”.

Włosi są niewdzięczni. Może?

Jan Kott

HENRYK EILE

O D A T Ę P R E M I E R Y

Z okazji wystawienia w Łodzi „Krakowiaków i Górali”



WOJCIECH BOGUSŁAWSKI
dyrektor Teatru Narodowego i autor „Krakowiaków i Górali”

„Cud mniemany” odegrał wobec insurekcji Kościuszkowskiej tę rolę, którą we Francji spełniło „Wesele Figara” Beaumarchais’a go wobec wielkiej rewolucji rolę zapowiedzi i pierwszej przygrywki.

CZY komedio - opera Bogusławskiego „Cud mniemany” czyli Krakowiacy i Górale” spełniła rzeczywiście tak doniosłą rolę, jaką jej Kucharski przypisuje? Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa, gdyż w rachubę wchodzi nie tylko i nie tyle treść tego utworu, ile data jego premiery. Odegrała się ona w Warszawie w 1794 r., lecz według jednych — 1 marca, według innych zaś — w drugiej połowie marca, według jeszcze innych wreszcie — w pierwszej połowie kwietnia. Rozpiętość dat wynosi tedy sześć tygodni. Niedługo to okres czasu, mimo to jednak ocena, czy i jaki wpływ „Krakowiacy i Górale” wywarli na wypadki w 1794 r. zależy od okoliczności, kiedy na prawdę odbyła się ich premiera.

Zamieszanie pod tym względem wywołał sam autor, Wojciech Bogusławski, „antreprenier” warszawskiego Teatru Narodowego. Podaje on bowiem w pamiętniku, zatytułowanym „Dzieje Teatru Narodowego”, a mając na myśli wystawianie w Warszawie przez polskich artystów opery „Axur”, którą tam poprzednio wystawiła trupa artystów włoskich: „...nie pozostawało już nic, coby włoskich śpiewaków żałować pozwalało. Ale brakowało jeszcze polskiej operze tego, co jest każdemu narodowi nader drożym — narodowości. Przyszła mi myśl wystawienia na scenie tych wesółych i rubasznych Krakowiaków, którzy śpiewając, uprawiają ziemię, śpiewając biją się za nią. Świeży dowód ich miłości pod Racławicami zapalił mój umysł; lube mojej młodości wspomnienia, drogie chwile, które na tej ziemi przeżyłem, nauki, które w niej brałem, związki krwi, które mnie tam łączyły, wszystko to przed moimi stanęło oczyma. Wezwałem całej mojej pamięci, całej zdolności do odmalowania ich zwyczajów, uczuć, mowy, zabaw; i w krótkim czasie napisałem znaną aż nadto operę „Cud czyli Krakowiacy i Górale” z ułożoną przez J. Pana Stefani muzyką, dnia 1 marca wystawiłem na scenę. Krakowiacy pozyskały wszystkich serca, zapaliły umysły. Stosowność, jakiej z ówczesnymi okolicznościami domyślano się w tej operze sprawiła, że po trzech ciągłych operach wystawieniach zakazana została. Ci, którzy w niej nie widęcy oprócz wesołych zabaw nie upatrywali, zasmucili się jej zgonem, lecz ten chwilowy letarg wkrótce ją, w świetniejszy epokę, wrócił do życia”.

Bogusławski, jak informuje Hahn (w „Pamiętniku literackim” z 1912 r.) pisał swój pamiętnik: „w późnej starości, kiedy go pamięć nierzaz zawodziła”. W ten sposób „nieodkładne szczegóły (podane przez) Bogusławskiego łatwo się dadzą wytłumaczyć”. Na czym polega ta niedokładność, która spowodowała poprzednio wspomniane zamieszanie?

Według przytoczonej relacji Bogusławskiego, napisał on „Krakowiaków i Górali” po zwycięstwie, odniesionym przez Kościuszkę pod Racławicami, i pod wpływem tego zwycięstwa, oraz wystawił „Krakowiaków” po raz pierwszy w warszawskim Teatrze Narodowym w dniu 1 marca 1794 r. Tak jednak nie było, gdyż być nie mogło. Kościuszko odniósł zwycięstwo pod Racławicami w dniu 4 kwietnia 1794 r. Wiadomość o tym zwycięstwie dotarła do Warszawy w cztery dni później, tzn. w dniu 8 kwietnia 1794 r. Z zestawienia daty zwycięstwa racławickiego i daty dotarcia o nim pierwszej wiadomości do Warszawy wynika, że omawiane zwycięstwo nie mogło wywrzeć żadnego wpływu na napisanie i wystawienie „Krakowiaków i Górali”, o ile ich premiera odbyła się rzeczywiście w dniu 1 marca 1794 r. Tym samym, o ile zwycięstwo racławickie wywarło rzeczywiście wpływ na napisanie i wystawienie „Krakowiaków i Górali” to ich premiera nie mogła się odbyć w dniu 1 marca 1794 r., lecz dopiero po dniu 8-mym kwietnia tego roku, tzn. po dotarciu do Warszawy wiadomości o omawianym zwycięstwie.

Tak tedy:

a) Bogusławski napisał i wystawił „Krakowiaków i Górali” jeszcze przed zwycięstwem racławickim. W tym wypadku ich premiera mogła się odbyć w dniu 1 marca 1794 r.

b) Bogusławski napisał „Krakowiaków i Górali” jeszcze przed zwycięstwem racławickim, wystawił jednak po raz pierwszy na scenie Teatru Narodowego dopiero po nadejściu do Warszawy wiadomości o tym zwycięstwie. W tym wypadku, premiera nie mogła się odbyć w dniu 1 marca 1794 r., lecz dopiero pomiędzy dniem 8-mym a 16-tym kwietnia 1794 roku, tzn. pomiędzy nadejściem do Warszawy wiadomości o zwycięstwie racławickim a zamknięciem Teatru Narodowego w związku z wybuchem w Warszawie insurekcji (w dniach 17 i 18 kwietnia 1794 r.) w ramach powstania Kościuszkowskiego.

c) Bogusławski napisał i wystawił „Krakowiaków i Górali” na scenie Teatru Narodowego po nadejściu do Warszawy wiadomości o zwycięstwie racławickim. I w tym wypadku premiera mogła się odbyć dopiero pomiędzy dniem 8-mym a 16-tym kwietnia 1794 r.

Rzecznikami pierwszej z wymienionych ewentualności pod tym względem, iż premiera odbyła się w dniu 1 marca 1794 r., oprócz samego Bogusławskiego, są: Zalewski (w „Krótkiej kronice”), Karasowski (w „Rysie historycznym opery polskiej”), Rapacki (w „Sto lat sceny polskiej”), Kotarbiński (w „Z dziejów dramatu i komedii w teatrach warszawskich”), Simon (w ogłoszonym przezeń repertuarze baletowym Teatru Narodowego z lat 1782 — 1794) i inni. O tym, iż Bogusławski był członkiem sprzysiężenia „i w myśl wskazówek tegoż” napisał „Krakowiaków i Górali” jeszcze przed wybuchem powstania Kościuszkowskiego i tym samym przed bitwą racławicką, zeznał przed władzami śledczymi Sierpiński, również członek sprzysiężenia, aresztowany „około 23 — 24 marca” 1794 r. Daty premiery protokół zeznań nie zawiera.

Rzecznikiem drugiej z wymienionych ewentualności jest poprzednio już wspomniany Hahn. Według niego: „Sam Bogusławski... podaje „datę wystawienia mylną, bo 1 marca zamiast odpowiedniej daty kwietniowej... nie ulega wątpliwości, że „Cud” musiał powstać na pewien czas przed zwycięstwem racławickim... Nadanie aktualności „Cudowi” nastąpiło dopiero w ostatniej chwili — przez dodanie odpowiednich piosenek”.

Rzecznikiem trzeciej z wymienionych ewentualności, prócz

znowu samego Bogusławskiego, który mówił, że premiera odbyła się po nadejściu do Warszawy wiadomości o zwycięstwie racławickim, są: „Russisch Keiserlicher Lieutenant” narodowości niemieckiej, Seume (w „Einige Nachrichten über die Vorfälle in Polen im Jahre 1794”), rosyjski generał — kwatermistrz, Piśtor (w „Pamiętnikach o rewolucji polskiej z roku 1794”) oraz Kraszewski (w „Polsce w czasie trzech rozbiórów”).

Godzi się ponadto zaznaczyć, iż Tokarz (w swym „Na premierze Krakowiaków i Górali”) podaje, że premiera ta odbyła się: „prawdopodobnie gdzieś w ostatniej dekadzie marca” 1794 r., ponadto, że pierwsze wydanie drukiem (Berlin — 1841 r.) „Krakowiaków i Górali” jako datę ich premiery podaje dzień 1 maja 1794 r. Obie te daty nie mogą być brane pod uwagę, zwłaszcza data 1 maja 1794 r., gdyż wówczas Teatr Narodowy był od dwóch tygodni nieczynny.

Nie koniec jeszcze na tym: W dniu 7 marca 1794 r. Bogusławski ogłosił „Ostrzeżenie wszystkim drukarzom i bibliopolom w Koronie i W. X. Litewskim”, iż, na podstawie przywileju królewskiego, zamierza wydać „zbiór wszystkich dramatów, komedii i oper, granych na teatrze warszawskim od roku 1789 do 1794”. W tym ogłoszeniu Bogusławski wymienił przeszło 30 utworów, które grane były do dnia ukazania się ogłoszenia. Wśród nich nie ma „Krakowiaków i Górali”, utworu, który cieszył się największym powodzeniem. Z tej okoliczności możnaby wysnuć wniosek, iż do dnia 7 marca 1794 r. omawiany utwór nie był wystawiany.

Z jakiej przyczyny przywiązujemy wagę do daty premiery „Krakowiaków i Górali”, a w szczególności czy ona odbyła się przed złożeniem przez Kościuszkę przysięgi na rynku krakowskim w dniu 24 marca 1794 r. i o dwa miesiące dłużej późniejszym zwycięstwem racławickim, czy też po złożeniu przysięgi i zwycięstwie. W pierwszym wypadku bowiem wystawieniu „Krakowiaków i Górali” na scenie warszawskiej możemy przypisać znaczenie czynnika, który wpływał na sprzysiężenie warszawskie, aby ono powzięło wreszcie decyzję, że powstanie ma wybuchnąć w Warszawie, w stolicy, oraz by ostatecznie ustaliło wciąż odkładany termin rozpoczęcia w Warszawie powstania.

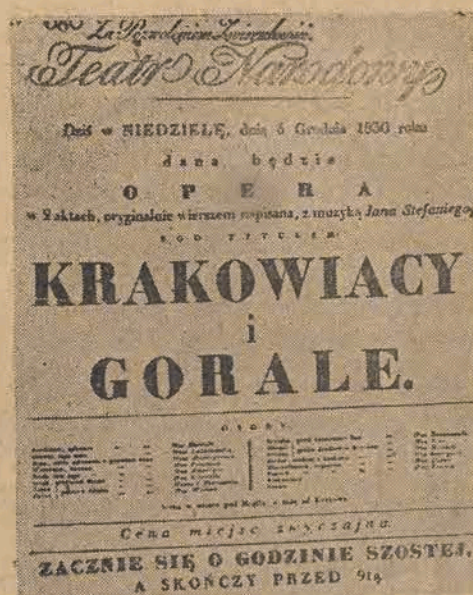
W drugim wypadku natomiast przypisujemy wystawieniu „Krakowiaków i Górali” znaczenie czynnika, który wpływał na społeczeństwo warszawskie, by ono przyłączyło się do aktu krakowskiego, co miało wzmożnić powstanie oraz nadać mu charakter wystąpienia ogólnonarodowego.

Blarąc pod uwagę wszystkie „za” i „przeciw”, należałoby przyjąć, iż utwór „Krakowiacy i Górale” został napisany i wystawiony przed złożeniem przez Kościuszkę przysięgi i zwycięstwem racławickim, lub wówczas tylko napisany, a wystawiony po odpowiednim uzupełnieniu i zaktualizowaniu dopiero po złożeniu przez Kościuszkę przysięgi i po zwycięstwie racławickim. W pierwszym wypadku, premiera mogła — zgodnie z twierdzeniem Bogusławskiego — odbyć się w dniu 1 marca 1794 r., lecz na pomysł napisania „Krakowiaków i Górali” oraz ich treść — wbrew temu, co twierdzi Bogusławski — zwycięstwo racławickie nie mogło wywrzeć żadnego wpływu. W drugim zaś wypadku premiera —

wbrew twierdzeniu Bogusławskiego — nie mogła odbyć się w dniu 1 marca 1794 r., a na treść „Krakowiaków i Górali” zwycięstwo racławickie mogło o tyle tylko — wywrzeć wpływ, że ich pierwszy tekst został, pod wpływem tego zwycięstwa, uzupełniony i zaktualizowany.



Teatr Narodowy przy Placu Krasińskich
(wygląd budynku w pierwszym okresie jego istnienia za Stanisława Augusta)



Afisz z przedstawienia w Teatrze Narodowym w wieczór 5 grudnia 1830 r., pierwsze po przerwie, spowodowanej wybuchem powstania

Niepodobna natomiast sobie wyobrazić, że Bogusławski zarówno napisał jak i wystawił „Krakowiaków i Górali” dopiero po nadejściu do Warszawy wiadomości o zwycięstwie racławickim. Znaczyłoby to bowiem, iż w ramach jednego tygodnia, tzn. pomiędzy 8-mym a 16-tym dniem kwietnia 1794 r., Bogusławski zdążył napisać tekst, Stefani dorobić muzykę, aktorzy i teatr przygotować wystawienie sztuki. Cenzury nie bierzemy już pod uwagę, gdyż wiemy z relacji Chreptowicza, że ówczesny cenzor Włodek: „mając ją (tzn. operę „Krakowiacy i Górale”) sobie podaną w dzień reprezentacji, pozwolił ją grać, nawet nie przeczytawszy”.

Niezależnie od tego, kiedy na prawdę odbyła się premiera „Krakowiaków i Górali” utwór ten wywarł rzeczywiście w pewnej mierze wpływ na nastroje rewolucyjne warszawskiego społeczeństwa. Na poparcie tej tezy przytaczamy relację Seumego, Piśtora i Trębackiego oraz informacje Kraszewskiego i Tokarza.

Seume podaje: „W stolicy sztuka p.t. „Krakowiacy” wzniosła entuzjazm na rzadko spotykany poziom. Sztuka ma tendencję patriotyczną (ist national)... Niektórzy z wybitniejszych aktorów „śpiewali do aryj warianty, które... rychło przeniosły się z teatru na ulicę, a sprawa, która rozegrała się obok Krakowa (die Geschichte bei Krakau — Racławice), przemieniła całą Warszawę w śpiewaków operowych”. Piśtor zaś podaje: „Wzywano naród do łączenia się z Kościuszką już to przez afisze poprząsane na rogach ulic, już to przez sztuki przedstawiane w teatrach a napelnione niby patriotycznymi myślami, podniecane lud do powstania...”. Trębacki (w rękopisie „O rewolucji 1794”) znowu wspomina o „Krakowiakach i Góralach” jako o sztuce „właśnie do przypadku wówczas napisanej, zachęcającej do powstania i publicznie zapowiadającej Ichmnościom (Targowiczanom) co się niebawem z nimi stanie”. Według informacji Kraszewskiego: „W przededniu rewolucji, nie bez myśli zapewne, gdy wszystkich serca i myśli ku Krakowu były zwrócone (Bogusławski) zaczął przedstawiać Krakowiaków i Górali”. Omawiany autor ma na myśli reakcję Warszawy na wypadki krakowskie: przysięgę Kościuszkę i bitwę racławicką. Tokarz wreszcie informuje o przebiegu premiery: „Wytworzyło się zatem na widowni pewne porozumienie artystów, należących do związku (sprzysiężenia), podkreślających celowo ustępy propagandowe sztuki oraz publiczności, która wiedziała dobrze o co idzie i w jakim zamiarze sztuka ta napisana”.

„Krakowiaków i Górali” wystawiono w dobie powstania Kościuszkowskiego ogółem trzy razy pod rząd. Ustalenie daty premiery dalszych dwóch przedstawień będzie prawdopodobnie możliwe dopiero po odnalezieniu afiszów Teatru Narodowego z 1794 r. Henryk Eile

ZYGMUNT JAN WYROZEMBSKI

Prawda gospodarcza w zaczarowanym kręgu

PAROKSYZM WSPOMNIENI I CHŁODNA ŚWIADOMOŚĆ

Literatura opisująca barbarzyńskie praktyki hitlerizmu jest u nas dość bogata i można się spodziewać, że się jeszcze zubożyci. Wizje koszmarnego nocy okupacji będą jeszcze wybuchały wulkanem nawet wtedy, gdy powierzchnia naszego życia społecznego wystygnie już od żaru doznanych cierpień. Być może, że nastanie dzień, gdy społeczeństwo nie będzie chciało wracać wspomnieniami do czasów pogardy, poniewierania życia i godności ludzką. Będzie to niewątpliwie objaw powrotu do zdrowia psychicznego. Kto wie czy opisy nieludzkich okrucieństw nie wpływają ujemnie na wrażliwość moralną i delikatność uczuć, zwichnięte w czasie wojny? Jeśli trzeba w pamięci narodowej kultywować wspomnienia przeżyć okupacyjnych, to raczej dla „nauki i przestrogi”. Nie same przejawy barbarzyńskich okrucieństw, ale ich sens jest ważny. Bo barbarzyństwo i okrucieństwo hitlerizmu nie były tylko wybuchem rozkiełzanych instynktów niszczenia i mordowania, ale te instynkty zostały rozkiełznane z premedytacją dla przeprowadzenia chłodno wyzuczonych celów. Poznanie tych celów i sposobów ich realizacji, wyciągnięcie nauk z doświadczeń historycznych o to praca, która musi bezustannie, dzień w dzień być wykonywana, aby jej rezultaty wryły się w świadomość i pamięć narodu.

„GOSPODARKA NIEMIECKA W POLSCE”

W książce pod tym tytułem*) Wacław Jastrzębowski przeprowadził analizę celów agresji niemieckiej i dał znakomity opis realizacji tych celów w Polsce w latach 1939 — 1944. Jest to pierwsza praca w tej dziedzinie i choć materiał faktyczny, na którym się opiera, jest ze zrozumiałych względów niepełny — książka była pisana w czasie okupacji — jest jednak mimo to ogromnie bogaty i pouczający.

Historia omawianej książki jest dość interesująca. Była ona opracowywana w Warszawie w latach 1941—1943, po czym została w odbitkach mikrofilmograficznych przesłana do Londynu. Przeznaczaniem jej było zapoznanie czytelników anglosaskich z praktyką gospodarczą okupanta niemieckiego w Polsce. Stała się wielką szkoda, że książka nie została wydana w języku angielskim. Materiał w niej zawarty, przeprowadzona analiza oraz sugestywny sposób wykładu mogły (a zapewne mogą jeszcze) odegrać ważną rolę w poznaniu cudzoziemców z działalnością gospodarczą Niemców w Polsce i z groźbą niemieckiej agresji na Wschodzie. Słusznie podkreśla p. Jastrzębowski, że niektóre zaprzysiężone nawet narody umieją z dziwnym brakiem krytycyzmu patrzeć na sprawy polskie, nieomal wyłącznie przez okulary niemieckiej propagandy (str. 175). Niestety, słowa te odnoszą się nie tylko do „krajów zaprzysiężonych”. Kierownicy koła emigracji, które na trąbach jerychońskich rozgłaszały goebelsowskie kłamstwa o Katyniu, nie pomijając w tym celu żadnych środków propagandy, przeznaczyły tę książkę (odbity w nielicznych egzemplarzach na powielacz) dla użytku wewnętrznego. Czyżby konsekwentnie i naukowo uzasadniona konieczność przesunięcia naszych granic nad Odrę i Niszę miała być przyczyną trzymania tej książki pod suknem? Cóż bowiem innego mogło być przyczyną?

Rozszerzony i zaktualizowany przez p. Jastrzębowski rękopis zaginął w czasie Powstania Warszawskiego. Książka została obecnie wydana na podstawie egzemplarza londyńskiego. Praca, jak wspominałem, była przeznaczona dla cudzoziemców. Autor nie zadał sobie niestety trudu przystosowania jej dla

obecnego czytelnika polskiego — ze szkoda dla sprawy i dla czytelnika.

Streszczenie w tym miejscu książki uważam za niecelowe*). Z zawartym w niej ogromem usystematyzowanego materiału winien zapoznać się każdy działacz polityczny i gospodarczy. Nawet dla laika, który na własnej skórze przeżył skutki gospodarki niemieckiej w czasie okupacji, książka ta, napisana z talentem, będzie niezmiernie ciekawą lekturą. Wielkie i drobne okropności ujęte zostały tu w pewien system, w system, który jest odpowiednikiem przemysłowego przez hitlerizm zbrodnierzego systemu gospodarczego, świetnie przez p. Jastrzębowskiego opisanego. Obiektywizm nagromadzonego materiału jest niewątpliwie. „Opis jest wierny, ale wiernością tych protokółów sądowych, co wymieniają dokładnie rany tłuczone, cięte i szarpane, ich liczbę, rozmiar, głębokość, rozmieszczenie i wpływ na czynności organizmu” (str. 231). Gdziekolwiek autor nie usiłuje ukryć swej reakcji emocjonalnej na chłodno opisywany przez siebie system. Powstają wtedy doskonałe strony. Książka jest nie tylko opisem zbrodnierzego systemu hitlerizmu w dziedzinie gospodarczej, ale przez swą bezpośredniość obserwacji i opisu — dokumentem. Jej wartość naukowa nie tylko na tym nie traci, ale zyskuje.

Znaczna część książki poświęcona jest analizie planów niemieckich, przede wszystkim planów organizacji Europy i na tym tle — planów organizacji ziem polskich. Analiza planów została podbudowana analizą historyczną i ekonomiczną niemieckiego „Drang nach Osten”. Trzon książki stanowią opis i analiza gospodarczych działań okupanta w Polsce, a więc systemu prawnego i administracyjnego, gospodarki materiałem ludzkim, majątkiem społecznym oraz gospodarki w dziedzinie wymiany i konsumpcji.

Autor konsekwentnie na podstawie całego zgromadzonego materiału uzasadnia słuszną tezę, że realizacja planów niemieckich wymagała nieodwołalnego gwałtownych środków i metod okrutnego i brutalnego nacisku. „Nie trzeba ich uważać wyłącznie za przejaw barbarzyństwa grupy rządzącej — to był spokojny, wyzuczony, z doświadczeń historycznych wysnuty system, niezbędny dla zrealizowania celów, przyszłością narodu niemieckiego o bardzo dawnych lat” (str. 163). „Takie właśnie metody były konieczne i nie mogły być złagodzone, jeżeli dążyło się do osiągnięcia celów, które naród niemiecki sobie postawił, pracę swych uczonych i meżów stanu sprecyzował... dla których ponosił największe ofiary podczas pokoju i w wojnie, w których zrealizowaniu widział nie tylko swą korzyść, lecz swą misję dziejową wobec świata” (str. 169). „Był to system, podporządkowujący sobie będące jego wykonawcami jednostki ludzkie w sposób tak zupełny, jak możliwe chyba jedynie w narodzie niemieckim z jego specyficzną psychiką” (str. 376). „To był właśnie system. To nie jest brutalny wybrzyk jednostki, to nie jest przestępstwo, to są solidnie z niemiecką spokojną precyzją, z pełnym poczuciem legalności wykonywane normalne czynności administracyjne, a wykonawcy są dzielnymi obywatelami, dobrymi ojcami rodzin, a nie żadnymi typami patologicznymi. Patologiczny jest system i naród, który go stworzył” (str. 233).

BESTIA NIEMIECKA, CZY FASZYSTOWSKA

System, czy naród? Jest to niezmierznie ważne zagadnienie, które pragnę naświetlić. Czytając książkę p. Jastrzębowskiego, odnosi się wrażenie, że nie zupełnie dokładnie zrozumiał on system

narodowego socjalizmu. Kiedy mówi — jak naprzykład w powyższej cytacji — o „systemie”, ma on na myśli nie określony system polityczno-gospodarczy, będący wytworem określonych sił ekonomicznych w określonej epoce historycznej, lecz raczej system środków czy celów. I ten system środków i celów wprowadzi nie z konkretnej bazy ekonomicznej jako zespołu sił ekonomicznych i interesów, lecz z zespołu czynników psychicznych, metafizycznych i niemal, że mistycznych. „Narodowy socjalizm” — mówi autor — napewno nie został Niemcom narzucony, lecz był naturalnym produktem kultury politycznej tego narodu” (str. 184).

Dla nikogo nie ulega wątpliwości, że Niemcy od dawnych czasów były — i przy pewnych warunkach będą jeszcze w przyszłości — ogniskiem niepokojów politycznych i agresji w Europie, agresji nam w pierwszym rzędzie zagrażającej. Rzeczą jednak historyka, a przede wszystkim ekonomisty, zajmującego się tym zagadnieniem, jest zbadać przyczyny gospodarcze, zmieniające się wprawdzie na przestrzeni dziejów, lecz posiadające zawsze określoną, choć zawsze różną treść i stanowiącą motor agresji i ekspansji. Rozboje Krzyżaków, „Kulturkampf” Bismarcka i hitlerizm zmierzały do zburzenia państwowości polskiej lub do wyniszczenia polskości. Jednak nie mistyczna, nadprzyrodzona, czy przyrodzona skłonność do mordów, czy wojen były przyczyną ich powstania i działania, lecz konkretne, w każdej epoce historycznej określone przyczyny ekonomiczne, czy polityczne, przestaniające tylko te ostatnie. Uświadomienie sobie tego elementarnego faktu ma znaczenie nie tylko teoretyczne, lecz winno stanowić narzędzie dla konkretnej analizy aktualnych stosunków i dla konkretnych posunięć politycznych.

Nie można zaprzeczyć, że dążeniami za boryczym holdowali nie tylko Bismarck i Wilhelm II, ale również Stresemann i Brüning, a zapewne przedstawiciele t. z. socjaldemokracji niemieckiej przed wojną. Ale wszyscy oni wyrażali i reprezentowali w różnych formach cele i interesy niemieckiego kapitalizmu.

Po doświadczeniach ubiegłej wojny trudno zaprzeczyć, że charakter narodu niemieckiego przejawia cechy wyjątkowo predysponowane do zorganizowanej brutalności i okrucieństwa. Byłoby jednak błędem — a błąd ten zdaje się popełniać p. Jastrzębowski — że te brutalność i to okrucieństwo należy położyć na karb jedynie psychiki narodu niemieckiego. Nie patologiczny charakter narodu niemieckiego spowodował straszną wojnę, lecz niemiecki imperialistyczny kapitał monopolistyczny i stworzony przez niego faszyzm. Faszyzm jest specyficznym tworem kapitału monopolistycznego. Z jego istotą — polegającą na rozbiciu klasy robotniczej i elementów postępu, na zdeptaniu wszelkiej wolności, na zapaleniu pożogi wojennej i na zaborczości — wiąże się brutalność i barbarzyństwo. Niebezpieczeństwo faszyzmu nie zostało usunięte z kuli ziemskiej i może on się jeszcze odrodzić, jeżeli narody nie okażą dość rozumy, siły i zdecydowania, żeby nie dopuścić do jego zapanowania. Lecz gdziekolwiek miał powstać, pod którąkolwiek długością i szerokością geograficzną, w kraju o starych, czy młodych tradycjach — wszędzie tajemni on swą zębata krwiożerczość, okrucieństwo, pogardę godności ludzkiej i życia człowieka. Oto dlaczego błędem jest wywodzenie narodowego socjalizmu z właściwości charakteru niemieckiego.

Wiadomo, że hitlerizm pociągnął za sobą drobnomieszczaństwo niemieckie i nawet znaczną część niemieckiej klasy robotniczej. Nie wolno jednak zapominać, że powstał on w wyniku walki wewnętrznej, nawet brutalnej, z postępowymi elementami Niemiec. Hitlerizm mógł zapanować jedynie dzięki wewnętrznej rozbiciu obozu demokracji

niemieckiej, którego pewne odłamy, w swym zaślepieniu, nie pojęły konieczności wspólnego wystąpienia przeciw wspólnemu wrogowi ludzkości i postępu. Cenę tego zaślepienia zapłacił nie tylko obóz postępu w Niemczech, nie tylko naród niemiecki, ale świat cały, a przede wszystkim Polska. Niektóre kraje wyciągnęły naukę z tych doświadczeń, niestety jednak nie wszystkie. I nie we wszystkich krajach doświadczenie to zostało przez wszystkich zrozumiane.

Codziennie zetknięcie z „dobrymi ojcami” niemieckimi, wykonywującymi swe brutalne czynności, słusznie kierowało gniewem przeciw całemu narodowi niemieckiemu. Wywodząc jednak faszyzm z mroków duszy niemieckiej, pograża się zarazem w mroku istotę faszyzmu jako niebezpieczeństwa międzynarodowego.

Posługując się idealistyczną metodą myślenia. Jastrzębowski nie tylko nie trafia w sedno ekonomicznej i politycznej treści faszyzmu, ale przedstawia ją dość opacznie, choć muszę przyznać, że plany hitlerizmu w Polsce przedstawił na ogół trafnie. Oto jak rozpoczyna autor swą właściwą pracę: „U podłoża obowiązującego w Niemczech światopoglądu... leżało przekonanie, że najważniejszym, czy nawet może jedynym czynnikiem kształtującym warunki życia, jest wola jednostki ludzkiej, twórcza wola — der schaffende Wille” (str. 43). Jakby obowiązujący światopogląd był najważniejszy dla poznania istoty narodowego socjalizmu i jakby w tym światopoglądzie to właśnie przekonanie było najważniejsze! Nieco dalej stwierdza p. Jastrzębowski: „W dziedzinie gospodarczej te założenia światopoglądowe prowadziły w prostej drodze do państwowego planowania gospodarczego, czy raczej gospodarstwa kierowanego” (str. 44) (podkreślenie moje). Bywają czasem interesujące koncepcje idealistyczne zastosowane do ekonomii politycznej. Ta koncepcja nie wydaje się jednak do nich należeć. Hitlerizm jako wytwór niemieckiego imperializmu (nie w sensie psychicznym, ale konkretnym, ekonomicznym, jako wyraz interesów monopolistów niemieckich) zmierzał do wojny i dlatego musiał zorganizować planową, czy kierowaną gospodarkę, stanowiącą instrument do prowadzenia tej wojny. To była również jego immanentna cecha. Kapitalizm niemiecki Wilhelma II, choć też był agresywny, nie stał na takim poziomie koncentracji, żeby mógł stworzyć ten system. Kapitalizm Hitlera to rządy oligarchii monopolistycznej, która umie narzucić swą wolę nie tylko klasie robotniczej i drobnomieszczaństwu, lecz także innym grupom mniejszych kapitalistów. Dlatego też może on zaprowadzić gospodarkę kierowaną. Jastrzębowski, posługując się metodą idealistyczną widocznie tego nie zrozumiał. Nie też dziwnego, że nie bez pewnej dozy naiwności stwierdza, że „ten swoisty system administracji gospodarckiej... w szczególności okazał się doskonale dostosowanym do potrzeb wojny” (str. 184 — podkreślenie moje). Jakgdyby nie do tego celu został stworzony!

Nie wnikać w klasową i ekonomiczną treść faszyzmu — charakterystyczna jest, że Jastrzębowski ani razu nie używa tego słowa — poddaje się autor złudzeniu, które skolei może udzielić się czytelnikowi, że system gospodarczy narodowego socjalizmu ma jakgdyby dwie strony zupełnie niezależne, z których jedna jest dobra i... nawet godna naśladowania, a druga zła i godna potępienia. Ta zła i potępienia godna strona — to agresja, której źródła tkwią w mrocznej psychice narodu niemieckiego, ta dobra — to system gospodarki planowej na użytek wewnętrzny. Posłuchajmy Jastrzębowskiego: „Powyższe (t. j. hitlerowskie — Z. W.) metody gospodarowania planowego dawały dosyć dobre rezultaty dzięki zgodności poglądów

*) Wacław Jastrzębowski — „Gospodarka niemiecka w Polsce 1939 — 1944” Spółdzielnia wydawnicza „Czytelnik” 1946, str. 410.

*) Obszerne streszczenie znajdzie czytelnik w artykule Kazimierza Sokółowskiego, zamieszczonym w „Kuźnicy” w Nr. 43 (61) z dn. 4 listopada b. r., p. t. „Gospodarka niszczenia”.

między społeczeństwem a rządem... Natomiast w krajach okupowanych system ten okazał się znacznie mniej praktyczny i przede wszystkim znacznie bardziej uciążliwy" (str. 47). Zaś w innym miejscu, po opisie hitlerowskiego systemu administracji gospodarczej: „Powyższy system organizacji gospodarstwa narodowego w zasadniczym zarysie posiada niewątpliwie poważne zalety dla kraju, pragnącego zmobilizować znaczną część swych sił dla wypełnienia zadań społecznych lub państwowych, a zwłaszcza dla kraju prowadzącego gospodarkę planową. Nie jest wykluczone, że niektóre metody i instytucje niemieckiego systemu gospodarczego okazały się wartościowe dla ogólnego, powszechnej użyteczności, po prostu dlatego, że były to metody nowe, zastosowane w Niemczech wcześniej niż gdziekolwiek” (str. 183). Ten zachwyt Jastrzębowski przypominając reakcję dziecka, które na widok czołgu, wola, że też chciałoby się przejechać „tym samochodem”.

Ow brak rozróżnienia między czołgiem a samochodem ujawnia się u Jastrzębowski, gdy porównuje sowiecki i niemiecki system planowania. „Ten sposób planowania (ustanowienie przez władzę zwierzchnią szczegółowego planu ogólnego, obowiązyującego niższe organa planujące — przyp. Z. W.) zastosowany w ZSRR nie odpowiadałby nastrojowi niemieckiemu, gdyż stwarzałby hamulec dla cechującego ten ustrój indywidualnego dynamizmu. Niemiecki plan gospodarczy, w przeciwieństwie do radzieckiego, nie był w całości tworzony przez centralny organ planujący... Był wypadkową licznych planów żyjących jakby własnym życiem” (str. 46).

Niektórych ekonomistów pociąga planowa gospodarka, bo zdają sobie sprawę ze skutków „automatyzmu” procesów gospodarczych kapitalizmu, prowadzącego do niestannych zaburzeń. Nie rozumieją jednak, że z pojęciem planowej gospodarki wiąże się ściśle jej socjalistyczne nastawienie, usuwające sprzeczności gospodarki kapitalistycznej. Łudzą się, że w gospodarce kapitalistycznej można zaprowadzić planowy ład nastawiony na pracę pokojową. W rzeczywistości planowa gospodarka w kapitalizmie możliwa jest w dwóch wypadkach: 1) Albo klasa robotnicza ujarzmi kapitalistów przez co kapitalizm przemieni się w inny ustrój. 2) Albo klasa kapitalistów ujarzmi klasę robotniczą, czyli nastąpi faszyzm ze wszystkimi jego konsekwencjami. O ile socjalistyczna gospodarka planowa po obaleniu własnościowych, prawnych i ekonomicznych szranków kapitalizmu zmierza do nieograniczonego rozwoju sił wytwórczych kraju dla podniesienia dobrobytu pracujących i rozwoju kultury, to faszyzowskie planowanie gospodarcze zmierza, albo do zahamowania rozwoju gospodarczego, albo skierowania go w łżyso celów agresji i podbojów. W socjalistycznej gospodarce planowej zbrojenia, jeśli są konieczne dla celów obronnych, stanowią zło konieczne, hamujące ogólną, pokojową pracę rozwojową. W gospodarstwie faszystowskim są one konieczne dla utrzymania produkcji w ruchu i dla osiągnięcia zysków z kapitału.

Jastrzębowski przeszedł mimo tych zagadnień i tym tłumaczyć należy, że całe zło upatrzył nie w bestii faszystowskiej, lecz w psychice narodu niemieckiego, obarczając ją nie tylko jej własnymi grzechami, lecz również grzechami faszyzmu, który ją wykorzystał dla swych celów.

OBSZAR ODRA — WISŁA JEST NIEPODZIELNY

Zasługą Jastrzębowski jest, że w książce swej wytoczył szereg słusznych i dobrze uzasadnionych argumentów za rewindykacją naszych dawnych ziem nad Odrą i Nissą. Na podstawie różnych materiałów dowodzi on, że ziemie nad Odrą i Nissą świadomie nie były przez Niemców zainwestowane, a to w tym celu, aby stanowiły rolniczą demografię — bazę wojenną. Autor dowodzi dalej na materiałach statystycznych, że „sytuacja gospodarcza i ludnościowa conaj-

mniej od połowy wieku ubiegłego nie zmusza narodu niemieckiego do szukania nowych terenów masowej kolonizacji rolniczej” (str. 160), że „narodowy socjalizm, mimo szczególnie usilnych zabiegów i starań, nie zdołał usunąć trwającego od lat pędu ludności z Kresów Wschodnich do uprzemysłowionych dzielnic centralnych i zachodnich” (str. 158). Ziemie między Odrą a Wisłą, które w granicach niemieckich stanowiły i mogłyby dalej stanowić spichlerz wojenny i koszar wojskowe, w granicach Polski zamienia się w teren pracy pokojowej i gwarantującej pokój Europy i świata. „Dla utrwalenia pokoju wskazane jest... traktowanie ziem między Odrą i Wisłą, jako całości niepodzielnej” (str. 408). Do argumentów, uzasadniających konieczność utrzymania przez Polskę tych Ziemi Zachodnich dodaje autor jeszcze ważki argument. Na podstawie interesującej analizy stwierdza on, że Niemcy przez zniszczenie warsztatów pracy (drogą mechanicznego zniszczenia jednych i komasacji drugich) stworzyły dodatkowe kilkumilionowe bezrobocie, którego przy istniejącym już przedtem w Polsce przeludnieniu — nie dałoby się wchłonąć nawet przy szybkich procesach inwestycyjnych. Dlatego też „postulat przesunięcia na zachód granic Rzplitej opiera się na fałszywej, że bez tych zmian terytorialnych stale zagrożony byłby już nie nasz stan posiadania, lecz nasz byt, a w dalszej konsekwencji pokój Europy i świata” (str. 407).

FALSZYWY BILANS

Mówiąc dotąd o książce Jastrzębowski, miałem stale na myśli główną jej część, poświęconą analizie gospodarki niemieckiej w Polsce, w związku z ogólnymi celami hitleryzmu. Część ta stanowi około 5/6 całej omawianej pracy. Na resztę składają się części wstępna i zakończenie, które jak gdyby wieńcem obejmują całość. Wstępna część, zatytułowana „Podłoże”, omawia kierunki rozwojowe gospodarstwa polskiego w okresie międzywojennym. Część ostatnia, zatytułowana „Konsekwencje”, daje jak gdyby bilans otwarcia i bilans zamknięcia. Bilans zamykający gospodarkę niemiecką w Polsce jest jednocześnie bilansem otwarcia gospodarki polskiej, który odrodzone państwo przejmując z dobrodziejstwem inwentarza. Część wstępna jest jak gdyby bilansem pracy gospodarczej Polski w okresie międzywojennym.

Zanim przystąpię do omawiania pierwszej części książki, chciałbym podkreślić, że doskonale rozumiem tę naturalną skłonność skłonność psychiki człowieka, przygniecionego ciężarem warunków okupacji, do gloryfikowania przeszłości. W czasie okupacji większość Polaków wzdychała — i słusznie — do minionych czasów przedwojennych, które w porównaniu z nieludzką niewolą hitlerowską wydawały się ucieleśnieniem złotej wolności i nieustającego dobrobytu. Wiadomo jednak, że przedwojenne czasy w Polsce nie były dla większości narodu czasami ani złotej wolności, ani nieustającego dobrobytu. U ekonomisty, analizującego pewną epokę, tego rodzaju romantyzm nie idzie w parze z wymogami obiektywizmu. Powyższe zastrzeżenie robię na wszelki wypadek, licząc się z możliwością wpływu nastroju w czasie wojny na autora. Jastrzębowski sam nie zrobił jednak w obecnym wydaniu swej książki żadnego zastrzeżenia w tej sprawie.

Taka czy inna ocena rozwoju gospodarczego Polski w okresie międzywojennym nie jest tylko kwestią abstrakcyjną, obchodzącą wyłącznie teoretyków i nie jest to również abstrakcyjne zagadnienie historyczne, do którego można się tak lub inaczej ustosunkować. Właściwa ocena polskiej gospodarki przedwojennej nie tylko stwarza właściwe nastawienie do aktualnej problematyki gospodarczej Polski powojennej, ale winna również być krytyczną podstawą do aktualnej działalności gospodarczej.

Alle posłuchajmy najpierw Jastrzębowski. Stwierdza on na wstępie, że po zakończeniu pierwszej wojny światowej stanęły przed Polską trzy wielkie zadania: „Odbudowa zniszczeń, budowa politycznej i społecznej aparatury państwa oraz związanie ziem polskich w organiczną całość gospodarczą” (str. 16).

Wykonanie tych zadań opóźniało normalną pracę nad dalszym rozwojem gospodarczym kraju. Proces ten został zakończony około r. 1925. Trwał on krótko, czy długo? Odpowiedź na to pytanie można dać, porównując ogrom zniszczeń i zadań, jakie stanęły i stoją przed państwem Polskim po obecnej wojnie ze zniszczeniami i zadaniami, które stały przed państwem Polskim po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Ze zniszczenia wojenne są po tej wojnie wielokrotnie większe, że aparat państwowy został zdruzgotany doszczętnie przez Niemców, że przyłączone zostały do Polski tereny, stanowiące trzecią część pozostałego obszaru, że wojna rozproszyła po kraju i świecie miliony Polaków — to wszystkim wszystkim wiadomo. A mimo to w kilkanaście miesięcy po zakończeniu wojny aparat państwowy pracuje względnie sprawnie, budżet jest zrównoważony (w 1925 r., jeśli się nie myli, budżet nie został jeszcze uchwalony), waluta jest bądź co bądź stabilna, komunikacja pracuje już nieźle i co najważniejsze produkcja rośnie niestannie, zbliżając się w wielu gałęziach do stanu przedwojennego, a nawet go przekraczając. I mamy już plan gospodarczy! Po uzyskaniu niepodległości w 1918 r. upłynęło aż siedem lat (przerwy wprawdzie nową wojną, której ówczesne koła rządzące chciały i daleko było do rezultatów osiągniętych obecnie po kilkunastu miesiącach Rozumiem, że Jastrzębowski, pisząc swą książkę w czasie wojny, nie mógł jeszcze robić tego porównania. Ale wydając ją w 1946 r. znał je już dobrze.

Wojna celna z Niemcami w r. 1925 stanowiła punkt zwrotny w rozwoju gospodarki polskiej. Jastrzębowski słusznie podkreśla, że „rozluźnienie stosunku z Niemcami pozostaje w związku i to w związku przyczynowym z uruchomieniem zdrowych i niezbędnych zmian strukturalnych”. Niestety, nie mówi nam Jastrzębowski, że po pewnym czasie te stosunki znów się zacieśniły ze szkodą dla Polski.

Przeludnienie w rolnictwie było najbardziej charakterystycznym objawem gospodarki polskiej. „Ta ogromna, wskutek przyrostu naturalnego stale rosnąca, liczba ludzi nieprodukcyjnych, stanowiących ciężar dla gospodarstwa narodowego, a mogącą być dla niego najcenniejszą wartością — była przez cały okres między wojnami zjawiskiem, wyznaczającym generalne kierunki polskiej polityki gospodarczej” (str. 29). Faktem jest, że to zjawisko korzeniami swymi sięga czasów porzecznych, ale faktem jest również, że polska polityka gospodarcza, polityka obszarowa, karteli i obcego kapitału, zjawisko to potęgowała. To ona była w dużej mierze przyczyną dalszego istnienia tego zjawiska, a w każdym razie jego rozmiarów. Jest rzeczą wiadomą, że przedwojenna reforma rolna była niedostateczna i obliczona na długie lata, które by przyniosły dalszy wzrost przeludnienia. Jastrzębowski przyznaje zresztą, że „tempo parcelacji było hamowane przez siły natury politycznej” (str. 30) i, że „najbardziej racjonalną, bodaj jedyną naprawdę skuteczną metodą tego szkodliwego zjawiska, było industrializowanie kraju” (str. 31).

Zamiast postawić sprawę jasno, że dysponenci polskiej polityki gospodarczej, reprezentując interesy ziemiaństwa, karteli i obcego kapitału, nie mogli stworzyć, a tym mniej zrealizować programu wielkiej inwestycji, szerokiego programu rozwojowego, ponieważ program ten musiałby zawierać i reformę rolną i zdruzgotanie karteli i upaństwowienie przemysłu, a więc godziłby w ich najżywniejsze interesy, Jastrzębowski waha się od eufemistycznej, pozbawionej jakiegokolwiek radykalności i usiłującej raczej usprawiedliwiać krytyki przedwojennej polityki gospodarczej aż do całkowitej jej apologii, aby koniec końców zrzucić całą odpowiedzialność

na kapitał zagraniczny, który Polsce nie udzielał kredytów*).

W polityce gospodarczej kapitalizmu odgrywają niewielką rolę zasady teoretyczne. Główną rolę grają interesy praktyczne. Ekonomista winien odkrywać interesy, kryjące się za głoszonymi zasadami. Inaczej czytelnik nie staje się od jego wywodów mądrzejszy.

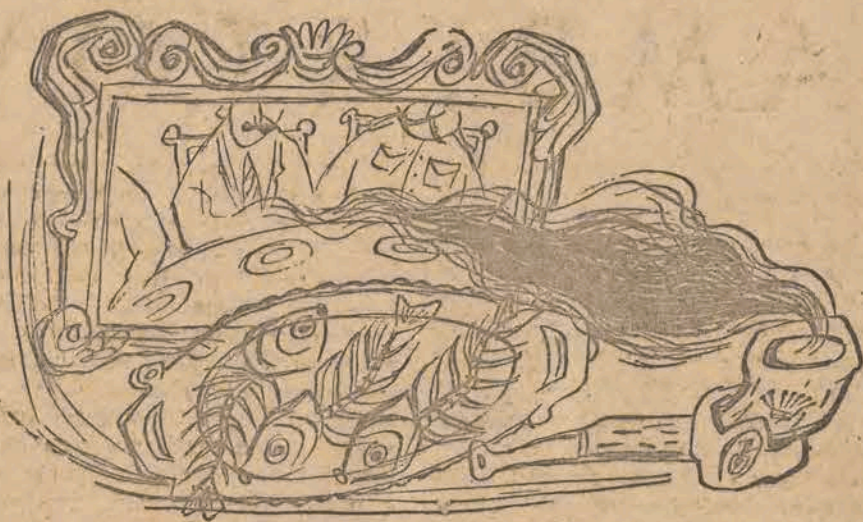
Inwestycje, pisze Jastrzębowski, „zamierzano osiągnąć przy użyciu klasycznych metod ekonomicznych, a więc m. in. przy pomocy kapitałów obcych. Dlatego Polska głosiła tezę swobody ruchu kapitałów, towarów i ludzi” (str. 31). Ale kapitały zagraniczne, które już trzy lata trzon portfelów akcji przemysłu w Polsce, nie chciały udzielać kredytów, Anglia, Stany Zjednoczone, Francja, odchodziły od zasad „klasycznych”. Polska zaś przy nich trwała. W czym interesie? „Nolens volens — pisze dalej Jastrzębowski — trzeba było budować siłami własnymi, a więc stosować różnorodne środki, mające na celu skierowanie możliwie wielkiej części dochodu społecznego na cele inwestycyjne” (str. 33) i dochodzi do konkluzji, że „uznając błędy i pominięcia urzędowej polityki gospodarczej, trzeba docenić i uznać ogromne zdobycze ekonomiki polskiej w przeciągu dwudziestopięcioletnia” (tamże, podkreślenia moje). A kilka stron dalej rekapitulując w następujących słowach: „Cechą istotną tego (polskiego, dop. Z. W.) organizmu gospodarczego był konsekwentny i szybki wzrost jego rozmiarów, osiąganych w drodze ekspansji wewnętrznej; intensywnie realizowana przebudowa strukturalna miała na celu wyrównanie braków inwestycyjnych, wyrażających się w przeludnieniu rolnictwa i niedorozwoju przemysłu. Organizm ten posiadał silną, wyraźnie zarysowaną samoistność i więź wewnętrzną, wyrażającą się... zwłaszcza w liniach rozwojowych, w sposób naturalny wynikających z logiki gospodarczej i ściśle harmonizujących z celami politycznymi i gospodarczymi państwa” (str. 37). A kilkadziesiąt stron dalej stwierdza już Jastrzębowski: „W dawnym swym stanie choroba (przeludnienie i niedoinwestowanie — przyp. mój) była przewlekła i równie przewlekłe metody leczenia były możliwe i właściwe” (str. 396 — podkr. moje).

Zobaczmy teraz, jak naprawdę wyglądały te „ogromne zdobycze ekonomiki polskiej w ciągu dwudziestopięcioletnia”, ten „konsekwentny i szybki wzrost”. O „intensywną przebudowę strukturalną” nie będę już wspominał, bo nie zdaje sobie sprawy, kogo właściwie należy przekonać, że taki proces w Polsce nie zachodził.

Dla zilustrowania ogromnych zdobyczy Polski przedwojennej podaje Jastrzębowski w zakończeniu pierwszej części „obraz statystyczny produkcji polskiej”, w którym porównuje stan produkcji poszczególnych gałęzi gospodarki przed wojną w Polsce w 1913 r. ze szczytowym stanem powojennym (po 1918 r.). Pomijając, że takie porównanie może czytelnika wprowadzić w błąd, to nawet ono wskazuje na fakty, które nie potwierdzają oceny autora. Wskazuje ono mianowicie na spadek produkcji surowki żelaza z 1.031 tys. ton w 1913 do 879 tys. w 1938; stali z 1.677 do 1.441 tys. ton, wyrobów goraco walcowanych z 1.199 do 1.074 tys. ton; tkanin z 1.423 do 953 tys. q. Porównanie jednak poziomu produkcji z 1913 r. z przeciętną produkcją 1923/38 da nam, jak sądzę, obraz prawdziwszy: Węgiel, 1913 r. — 41 mil. ton, średnia 1923/38 — 35,6 mil. ton (spadek o 13%), stal — średnia 1.132 tys. ton (spadek o 48%), surowka żelazna — średnia 556 tys. ton (spadek o 52%). Dla tkanin różnica między szczytowym punktem produkcji, a produkcją 1913 r. wynosi 34 proc.

(Ciąg dalszy na str. 8-9)

*) Najbardziej posuwa się Jastrzębowski w apologii polityki gospodarczej Polski przedwojennej, porównując tę politykę z planami niemieckimi w Polsce (str. 140 i dalsze). Pomijając fakt, że przy takim porównaniu każda, nawet najgorsza polska polityka gospodarcza stałaby o wiele wyżej od planów niemieckich i mimo wszystkich zastrzeżeń, jakie autor czyni, należy uznać, że porównanie takie nie przystoi.



(DOKONCZENIE)

PO RANNYCH komunikatach radiowych, których słuchano w skupieniu, ciocia Forcąg, gdy wszyscy już opuścili bawialnię, nastawiała strzałkę radiodiodbiernika na Berlin i pilnie słuchała wiadomości Deutsche Nachrichten Bureau.

Zaskoczona kiedyś przez Romana i zgromioną przez niego surowo za takie postępowanie, ciocia Regina, objawiając zresztą dość dużo zdrowego rozsądku, odparła na jego wyrzuty:

— Oni tam lepiej wiedzą, gdzie są ich wojska. Lepiej ja już będę słuchała Berlina. — Była w tym i przezorność i resztki tak strasznie zawiedziona w 1933 roku wiary, jaką żywiło żydowskie mieszczaństwo w stosunku do Niemców.

Samochód Forcągów stał w stajni. Dawniej były tam konie zarekwirowane z początkiem wojny przez władze wojskowe. Młody Forcąg odwiedzał samochód codziennie, czyścił zamkiem jego szyby, kto wie nawet czy nie pieścił miękką dłońią stalowej kuli, wyobrażającej naszą planetę, która zdobiła maskę wozu. Samochód, jako szybki i pewny środek lokomocji, był mu w tych dniach tak drogi, że choć milość do koni nie mogła tkwić w tradycjach poważnej kupieckiej rodziny, przecież młody Forcąg spoziierał na samochód tak, jak młody ziemianin spogląda na ulubioną klacz.

Przemówienie Pujdaka nie natchnęło młodego ufnącością. Wciąż zbliżająca się kanonada, coraz wyraźniejszy i coraz rzadziej milknący turkot dobiegający z odległej szosy, przeczyły wyraźnie słowom pułkownika.

Baronostwo Berze spoczywali na brzegu ciemnego stawu. Baronowa w kretonowej sukni czytała książkę, baron wylegiwał się tuż przy niej, trzymając głowę opartą na jej kolanach i puszczał kłęby fajczanego dymu. Palenie nie było jednak czynnością, którą baron wykonywał bezinteresownie, napawając się samą jego rozkoszą. Dym fajki bowiem, tak obficie wydychany z jego obwisłych i zmęczonych warg, służył przede wszystkim jako odcłona przed komarami. To też baron nie miał nawet czasu na smakowanie holenderskiego tytoniu, pochłonięty całkowicie zadaniem ochrony ciała swej żony i swego przed ukąszeniami natrętnych owadów.

Moje stosunki z baronem były bardzo poprawne. Starałem się utrzymać go w przekonaniu, że żywię dla niego szacunek należny osobom utytułowanym, nazywałem go baronem, zdając sobie sprawę, że samo tylko posiadanie tytułu, nabytego przez starożytnego Berze od pocziwego cesarza Franciszka-Józefa, nie może mu przecież wystarczyć. Tytuł ten należało ustawicznie powtarzać, upewniając tym samym właściciela, że go istotnie posiada. W ciągłym spełnianiu tego dobrego uczynku celowałem zwłaszcza mój kuzyn Roman, choć był z Berzem po imieniu. Ale dla Romana wymawianie tytułu miało tak wielki urok, że nie był w stanie się temu oprzeć. Tak więc źródła przyjemności, sprawianej przez Romana Berzemu były czysto egoistyczne. W uszach osób postronnych to tytułowanie Berzego przez Romana brzmiało jak drwina. Ale aktorzy tych dialogów — Roman i Berze — nie odczuwali tego zupełnie. Przeciwnie, zauważyłem, że obaj byli bardzo zadowoleni. Był to jeden z tych rzadkich wypadków, gdy egoizmy dwóch ludzi nie

tylko nie są ze sobą sprzeczne, ale całkowicie się pokrywają.

Po kilku dniach, posłuszni zwyczajowi wprowadzonemu przez Romana, wszyscy goście stradeckiego domu poczęli tytułować Berzego. Każdy jednak wymawiał tytuł w innej tonacji.

Pułkownik Pujdak z lekceważeniem dla cudzoziemskiego tytułu i dla osoby, która go nosi, Kiełanowski z pogardą dla osoby i z szacunkiem dla tytułu, jako takiego. Roman z szacunkiem dla samego siebie. Forcągowie z wyraźnym zadowoleniem, gdyż wspólnota krwi z osobą utytułowaną, jakkolwiek zacierała starannie przez Berzów, lecz wiadoma wszystkim, podnosiła ich we własnych oczach. Ja — z wrodzoną mi od dziecka obojętną uprzejmością. Choć była ona banalna i zmuszała mnie nieraz do udawania, że interesuję mnie ludzie i sprawy, które nie mnie w gruncie rzeczy nie obchodziły, przecież tę politykę wychowania ceniłem zawsze bardzo i nigdy starałem się jej nie zdradzać.

Jeden tylko Grzegorz mówił do Berzów per „pan” i „pani” i mimo wielokrotnych upomnień Romana nie chciał w żaden sposób zwracać się do nich inaczej. Perfidia Grzegorza była tak wielka, że młody Berze z napięciem czekała na to brakujące słowo i spodziewała się za każdym razem, że lokaj wypelni tę pauzę w zdaniu. Niestety, Grzegorz przyjęty do służby jeszcze przez dziadka Leopolda z polecenia jakiegoś starego prawdziwego hrabiego, pogardał i tytułem i osobą barona.

Baronostwo spoczywali więc, jak rzekłem, nad stawem. Zbliżyłem się ku nim na odległość dość przyzwoitą, pozwalającą jednakże rozróżniać niektóre wypowiedziane przez nich słowa. Pomagał mi w tym lekki wiatr, przynosząc oddzielne dźwięki, szleszczące jak drobne, szcchłe liście.

Z początku dobiegały mnie nieartykułowane pojękiwania, które stopniowo wzmacniały się i przeszły w melodyjną skargę. To baron Berze, znudzony pykaniem fajki, powracał do stanu pierwotności i wydawał automatycznie dziwne głosy. Gdy ten monotony śpiew stał się tak donośny, że mogło go usłyszeć nie tylko ucho najbliższe, baronowa oderwała wzrok od francuskiej książki, rozejrzała się i dostrzegłszy mnie w pobliżu, szepnęła widocznie coś do męża, czego niestety nie mogłem dosłyszeć. Lament barona ucichł. Sądzę, że baronowa kazała mu czym prędzej powrócić ze stanu pierwotnego zamyślenia do tego stanu, jaki przystoi osobie mającej i utytułowanej. Baron uniósł głowę, podparł się łokciem, spojrzał najpierw w stronę, gdzie siedziałem, potem powoli, zataczając głowę półkolem, oglądał horyzont, by wreszcie znów natrafić wzrokiem na mnie. Wówczas skłonił mi przyjaźnie dłoń i zawołał: „Hal-lo!” Wstałem i zbliżyłem się do Berzów wobec tak widomego znaku życzliwości, jaki mi okazano. Zostałem wzamian za swoje posłuszeństwo obdarzony najwznieślijszym z uśmiechów baronowej i otrzymałem miejsce na welnianym pledzie.

Począłem rozpoczął konwersację nad brzegiem stradeckiego stawu.

PAWEŁ HERTZ

UCIECZKA

— Jak pan sądzi, panie Adamie, czy Niemcy przedko tu będą? — pytał baron, patrząc mi głęboko w oczy, jakby był conajmniej jednym z wielkich strategów kampanii wrześniowej.

— Z tego co mówił pułkownik Pujdak... — zacząłem nieśmiało.

— Ach, pułkownik Pujdak, c'est un bon diable, mais enfin... to prostak, mój panie, coż on wie! — rzucił baron z niecierpliwością. — Zresztą kiedy ci nasi pułkownicy tak pokrzykują, to nie wszystko wydaje mi się w porządku.

...wynikałoby, że Niemcy powinni być tu lada godzina! — dokończyłem przerwanym przez barona zdaniem.

Baronowa zamknęła książkę, spojrzała na nas i tonem wyrzutu rzekła do męża:

— A nasz samochód? Czym teraz pojedziemy, bo przecież jeśli Niemcy mają tu przyjechać, to lepiej być z nimi w Warszawie. Przynajmniej będziemy we własnym mieszkaniu. Zresztą te karpie, ta rybna kuracja... — dodała ironicznie, rzucając powtarzające się w każdym z tych słów „r”.

— Samochód? — zafrasował się baron. Zauważyłem, że nagle jego twarz rozjaśniła się uśmiechem, a wzrok starając się zmylić moją czujność, błędził przez chwilę po kępach przybrzeżnego sitowia, by wreszcie zwrócić się ku widocznym zza domu zabudowaniom gospodarskim, gdzie stał koń rodziny Forcągów — piękny, sześciolobowy samochód. Nie zdawałem sobie jeszcze dokładnie sprawy z myśli barona, ale ten wzrok w połączeniu z obawą przed Niemcami i uwagami baronowej, kazał mi przypuszczać, że Berze widzi właśnie oczyma wyobraźni czarny, szybki wehikuł, unoszący w swoim wygodnym wnętrzu jego żonę, a nie prawowitych właścicieli pojazdu — rodzinę Forcągów.

Uważałem za stosowne opuścić Berzów po moim niedyskretnym spostrzeżeniu, o partym zresztą wyłącznie na wewnętrzny brak wiary w to, czy pod wpływem lęku baron nie byłby zdolny do każdego czynu — na przykład do kradzieży samochodu Forcągów.

Wstałem. Wszyscy troje wychrzakaliśmy jakiegoś grzechot.

Obzedłem dom dookoła i przypadkiem zbliżyłem się do altanki oplecionej czerwonym, ledwie gdzieś niedaleko jeszcze zieleńjącym winem. Wejście do niej prowadziło z przeciwnej strony niż ta od której się zbliżałem. Zamierzałem już okrążyć altankę i wejść do niej, by spokojnie wypalić papierosa, gdy nagle posłyszałem przytłumione głosy. Zatrzymałem się jak każdy, kto zwęszył tajemnicę. Chciałem ją posiąść, nie zwracając na siebie uwagi. Ostrożnie, tak by mnie nie można było zauważyć z okien domu, zbliżyłem się do bocznej ścianki, wtuliłem ucho między dwa czerwone liście dzikiego wina i słuchałem.

— Muszę panu coś powiedzieć, panie Kiełanowski! Coś czego nie mogłem mówić tam — tu zapewne niewidzialny pułkownik Pujdak wykonał pogardliwy gest w stronę stradeckiego domu — ale pan zrozumie, że nie mogłem tego powiedzieć. Otóż stało się coś najgorszego. Słyszałem dziś rano w mieście mowę Mołotowa. Bolszewicy przeszli już granicę i lada godzina będą w Brześciu. Ani Lambertowi, ani nikomu z jego rodziny nie musiałem o tym mówić, bo im przecież, sam pan się orientuje, nie grozi. Co innego, gdyby to byli Niemcy! Ale gdyby nam się nie udało i gdyby nas zaskoczyli... — pułkownik mówił jak w gorączce i nie tylko ja, który go nie widziałem, ale zapewne sam Kiełanowski, który, jak sobie to przedstawiam, musiał go w takiej chwili trzymać mocno za ramię i patrzeć mu z przerażeniem w oczy, nie bardzo rozumiejąc o co chodzi.

Wreszcie po chwili milczenia, wypełnionej dwoma przyspieszonymi oddechami, usłyszałem głos Kiełanowskiego:

— Jakto? Bolszewicy? A gdzie Niemcy? Panie, musimy uciekać, to straszne. Pamiętam ich z dwudziestego roku! Pułkownik, przecież ja mam córkę!

— Więc widzi pan, musimy uciekać! — krzyknął triumfująco Pujdak, jakby mu to

co powiedział przed chwilą Kiełanowski niezmiennie ułatwiło ostateczną decyzję.

— Ale jak, przecież nie mamy czym, koni nie zdążymy, zresztą Lambert koni nie ma.

— Jest samochód! — usłyszałem jak pułkownik wyjmował z kieszeni coś dźwięczącego jak para związanych ze sobą kluczy i jak podrzucił je na dłoń.

— Samochód Forcągów? Ale to przecież ich samochód, oni też będą chcieli uciekać, jak się dowiedzą — nieśmiało oponował Kiełanowski, zasłaniając przed sobą możliwość ucieczki świętym prawem własności.

— Ależ im nic nie grozi. Po co im samochód? — dodał ciszej pułkownik.

— No, ale to ich samochód — przekonywał miękko Kiełanowski.

— To prawie jak rekwizycja, jestem przecież oficerem, mam prawo — usprawiedliwiał się Pujdak, usypiając sumienie własne i Kiełanowskiego.

— No tak... I tak by im zabrano, jak Berzemu — zakłócał Kiełanowski.

Wyczołamałem się z mojego stanowiska tropiciela tajemnic, usłyszałem bowiem więcej niż należało. Wróciłem spokojnie nad staw i zastanawiałem się przez godzinę czy nie należałoby uprzedzić Forcągów. Ale naraziłoby mnie to na konieczność demaskowania gości mego kuzyna w jego własnym domu. Woląłem więc pozostawić ich własnemu losowi.

Rozległo się potrójne uderzenie gongu. Karpie stradeckie wzywały nas, byśmy je spożyli skończyli na wieczór — usmażone i ugotowane pod troskliwym okiem cioci Julii.

Nieziemna topografia stołu dawała wdzięczny obraz oczom świadomego widza, jakim byłem. Po prawej stronie siedział pułkownik i Kiełanowski — każdy z nich wyglądał jak Noe przed wejściem do arki, która miała ocalić pojedyncze egzemplarze poszczególnych gatunków. Obaj byli poważni i zamyśleni — zapewne ustalali w myślach kolejność w jakiej będą wpuszczać do arki swoje zwierzęta.

Ich żony i córki jadły ostrożnie karpie, mówiły skąpo — wydawało mi się, że były już dokładnie poinformowane o planie ucieczki. Szały dokładnie ości, jakby w przewidywaniu, że przez dłuższy czas nie będą nie jady, ale robiły to z uwagą, by przypadkiem ość nie stanęła im w gardle. Najdrobniejszy bowiem wypadek mógł u niebezpiecznej ucieczki, opóźnić ją, co w wyobraźni tych wszystkich, którzy spożywali karpie po prawej stronie stołu, było równoznaczne ze śmiercią.

Inaczej działało się po lewej stronie stołu i w jego górnym końcu. Tu panowało miłaskanie Forcągów z trudem dojadających rybnie głowy i ogony. Miłaskanie to zagłuszało nawet wykwiną rozmowę, jaką baronowa Berze usiłowała nawiązać z Romanem. Berze, zgrabnie posługując się dwoma widelcami, oddzielał białe, gdzieś niegdyś poprzątkowane fioletowymi żyłkami, mięso rybne od ości i wkładał je w rozchylone mięsiste wargi. Widać było, że baron też ma jakiś plan. Przemawiało za tym zarówno owo spojrzenie, które zauważyłem nad stawem, jak i dokładność z jaką jadł kolację. Spojrzałem na baronową. Wycierała właśnie skórą od chleba, wbijała na widelec, rybi, gęsty sos z talerza. Był to widok nieoczekiwany. Najada się na zapas — pomyślałem.

Rozmowa zupełnie się nie kleiła. Rozeszliśmy się wcześniej, każdy do swojego pokoju. Noc była ciemna i cicha. Słychać było tylko wyraźne ujadanie psów, ale i te głosy milkły kolejno, jak milkną niskie nuty basów, gdy pianista, przechodząc do wioliny, naciska pedał instrumentu. Wszystkie noce tego września były wypełnione hukami, jazgotem czołgów, suchym traskiem salw karabinowych, monotonnym brzękiem motorów. Wydawało się, że na zachodzie wali się świat, jak wielka secesyjna kamienica pod uderzeniem bomby. Z potrzaskanego masywu odpadają długo

Z KRAINY LAMBERTÓW

Ilustr. Olgó Siemiaszkowa

sztukatury, wieżyczki, gipsy i balkony — ten zgiełk niósł się za nami na wschód. Teraz wszystko umilkło; tylko milknące ujadanie psów wypełniało ciszę, zamieniając wojenną noc w sielankę. I dopiero gdy umilkło, zrozumiałem, że taka wielka cisza na ziemi musi mieć jakąś przyczynę.

A za chwilę, jak gdybym czytał sienkiewiczowską stronicę, posłyszałem tętent galopującego konia. To jeździec pędził szosą brzeską, ze wschodu na zachód i niósł jakąś wieść gminie Miedna, położonej tuż obok Stradecza. Tętent odbijał się głośniejszym echem od lustra wód i dobiegał moich uszu nieskażony i czysty, jak promień wielkiego światła, załamany w szkło. Ucho nieprzyzwyczajone od wielu dni do innej muzyki niż muzyka maszyn i bomb, słyszało w tym tętentcie więcej niż on znał. To biegnie koń Apokalipsy — myślałem wtedy, wychylając się z ciemnego pokoju w noc wiejską. Ale do rzeczywistości przywrócił mnie szelest kroków. Nieraz bywa tak, że odgłos cichszy, lecz bliższy zarazem ucha, koncentruje naszą uwagę, eliminując głos inny, potężniejszy, lecz którego źródło jest bardziej oddalone. Oko moje w przylotach z uchem spoglądało w stronę szelestu. Ten stawał się coraz to bardziej natarczywy koło niewidocznego wejścia do stajni, gdzie trwał niemy koń rodziny Forcajgów. Ktoś odepchnął oba skrzydła stajennych drzwi. Zobaczyłem słupki latarki. Ujrzałem niewyraźny, profil wysokich butów pułkownika Pujdaka. Przypomniałem sobie rozmowę wieczorną, którą podслуchałem w altanie. Po cichu wszedłem po schodach i bocznym wejściem wyszedłem na podwórze od strony gospodarskich zabudowań. Ciemność służyła mi tak samo jak nocnym koniokradom, myszującym koło stajni, gdzie stał Buick, czekając na swego jeźdźcę. Ukryłem się za węgielny dom. Mogłem stąd obserwować, sam niewidzialny, szeroką scenę między jednym z bocznych ganków domu i stajnią. Dwie postacie, a za nimi jeszcze trzy, skradły się ostrożnie, starając się nie dotykać ziemi. Ale rozrzucony tu i ówdzie żwir wydawał taki głos, jak gdyby gracz mieszał w kubku kości. Po chwili cała grupa połączyła się z pułkownikiem, który przed chwilą szedł sam w awangardzie. Mogłem ich widzieć w całej okazałości, bo cienki nów wychylił się zza domu. Wszyscy byli ubrani w stroje podróżne i wsiadali właśnie do samochodu, gdy z bocznego ganku domu zeszły jeszcze dwie postacie i skierowały się w stronę stajni. Baron Berze z małżonką czekali widocznie na tę chwilę, gdy naturalne, słabe światło księżyca na nowu zastąpi im ślepą latarkę pułkownika Pujdaka. Być może, że schodząc ze stopni ganku zauważyli otwarte drzwi stajni i posłyszeli tak dziwny w tej porze szmer. Ale ani baron ani jego żona, ukuwszy po naszej nadbrzeżnej rozmowie plan ucieczki samochodem Forcajgów przed następującymi Niemcami, nie mogli przecież nawet przez chwilę przypuszczać, że dzielny pułkownik i zany Kiełanowski wpadli na ten sam pomysł. Różnica polegała na odmienności lęków, lecz motor pomysłu był ten sam.

Baronostwo stał teraz zaledwie w odległości kilkunastu kroków od stajni. Skradali się cicho i nieświadomy widzieli mogliby wziąć ich za część poprzedniej grupy. Ale ja wiedziałem dobrze, że sześciuosobowy Buick niiby arka, pomieści tylko po jednym egzemplarzu z danego gatunku. Berzowie byłiby tu zbędni. Pułkownik zapuścił motor, zabłysły reflektory. Nieoczekiwany, bliski warkot motoru odbił się głośniejszym echem w tej ciszy. W świetle reflektorów ujrzałem prawie grecką grupę Berzów, zastępy, skamieniały, z rękami wzniesionymi ku górze, jak gdyby jednocześnie wzywały pomsty nieba i chcieli, jak dzieci motyla, nakryć rozczapierzonymi dłońmi wyjeżdżający właśnie ze stajni samochód Forcajgów. Patrzyłem nieruchomo na ten wspaniały obraz. Zdawałem sobie sprawę z tego, że za chwilę Berzowie oprzytomnieją i będą się starać wrócić niepostrzeżenie do domu. Nie będę mógł nawet następnego dnia opowiedzieć, że byłem świadkiem ucieczki stradeczkich gości, nie dając Berzom do zrozumienia, iż widziałem przy tym i ich nadaremne próby.

Samochód, zmieniając biegi, z zapalonymi światłami, odjeżdżał coraz dalej. Warkot motoru zbudził tylko tych, którzy mieszkali od strony podwórza. W oknie pierwszego piętra ukazała się głowa Grzegorza, z poddasza wyjrzała stara kucharka. Zapewne zaspani, nie lękając się o własność, której nie posiadali, nie zwrócili uwagi na hałas, przykryty teraz liściem zagajnika, wśród którego dalsza droga prowadziła nowoczesną arkę Noego, uwożąc z tych ziem niewdzięcznych gości mojego kuzyna. Berzowie, tak jak się spodziewałem, poczęli szeptać coś między sobą i wycofywać się spowrotem. Po chwili drzwi wiodące do wnętrza domu zamknęły się z wolna i cicho. Pozostałem sam z węgielnym domem, w ciemnościach, które niedługo miał rozegnać świt, niosąc nowe światło i nowe wieści.

Gdy rano szedłem na śniadanie, spotkałem Berzów. Twarze ich były zmęczone, oczy podkrążone i pełne melancholii. Spytałem obłudnie barona jak mu się spało. Otrzymałem odpowiedź pocieszającą; usmiałem się tak, by uśmiech mój nie miał śladu ironii i zaproponowałem wspólne leżakowanie na tarasie. Gdy wstawaliśmy od stołu, z głębi domu nadciągnęli Forcajgowie, nieświadomi kłóśki i Roman, prowadzący do śniadania ciotkę Julię.

Rozciągnięci w leżakach wiedliśmy rozmowę o polityce i stawialiśmy horoskopy wojnie, biorąc za kamień węgielny naszych rozważań wiarę pułkownika Pujdaka w nasze własne siły i w pomoc aliantów. Wspominałem, że wolałbym usunąć się ze Stradecza, gdyby ofensywa niemiecka nie zatrzymała się na Bugu. Rychło okazało się, że wszystkie nasze przewidywania są błędne, a wszystkie nasze plany — nierealne. Oto bowiem podniósł nas na nogi głośniejszy krzyk: — Panie baronie! Panie baronie! Wychylił się z ujrzał Grzegorz, biegnący od strony stawów z miną triumfalną. Baron zbladł. Istotnie, Grzegorz tytułujący go i to na taką odległość nie mógł być posłem żadnej pocieszającej dla barona nowiny.

— Panie baronie! — wołał Grzegorz. Zbliżył się do stopni ganku, uniósł głowę ku górze i niepytany przez nikogo, wbrew wszelkiej etykiety, zawołał:

— Panie baronie! Bolszewicy weszli do Brześcia!

Berze przechylił się przez balustradę i spytał chrapliwie:

— Co takiego? Co?

Ale Grzegorz znikł już w głębi domu, niosąc wieść swemu panu.

Baronowa wsłuchiwała się jeszcze chwilę w ciszę, która zapanowała po retorycznym pytaniu Berzego, poczem upuściła francuską książkę w żółtej broszurowej oprawie.

Uważałem za rzecz niezmiernie instruktywną, by w tak ważnej chwili zebrać obserwację nad zachowaniem się poszczególnych osób, z których składało się stradecckie społeczeństwo. Zeszliśmy na dół.

Forcajgowie, którzy przed chwilą dopiero dowiedzieli się o stracie samochodu, uspokoił się zupełnie. Motor lęku przestał działać. Roman był niespokojny. Berzowie, którzy wskutek kilkunastu opóźnień zamarowali możliwość ucieczki byli nie pocieszeni. Ciotka Julia okazywała całkowitą obojętność i jak zwykle przeżuwała nieistniejące pokarmy. Ludwik wygrywał w salonie pierwsze parę taktów „Marsza tureckiego” Schuberta. Czynił to zawsze, od niepamiętnych lat w chwilach ważnych zdarzeń.

— Ale nie myślałem nigdy, że taki Pujdak to zwykły złodziej. Po prostu ukradł, ukradł... — zaczynał młody Forcajg, wodząc już spokojnymi oczyma po całej rodzinie. Julia nic nie słysząc kiwała pobłażliwie głową.

— Mówiłem ci już, że nie ukradł! — powtórzył Roman głośniejszym, zrytowym, że taki Forcajg ośmiela się posadzać pułkownika o kradzież. — Nie ukradł, tylko po prostu zarekwizował, miał prawo — dodał, wierząc na pewno w to co mówi.

Julia kiwała głową. Ludwik wrócił do pierwszego taktu.

— Co teraz będzie? Chyba mi nie odbiorą majątku? Jak myślisz? — zwrócił się Roman do Forcajga. — Nie, na pewno nie odbiorą, przecież to jest mój majątek. Jak myślisz? — pytał natarczywie Roman. Młody Forcajg pogwizdywał z cicha.

— Mój Romanie — zaskrzeczała Julia. — Chodźno tu! — Roman zbliżył się do matki Julia będąc głucha nie potrafiła modulować głosu, wydawało jej się, że mówi bardzo cicho, w istocie zaś w pokoju słychać było każde słowo. — Mój Romanie, trzeba koniecznie zmienić hasło w pancernej kasie. Zamek otwierał się na litery „Julcia” — J—u—l—c—i—a — wysylabizowała z trudem, jakby sobie coś przypomniała — to jeszcze twój ojciec tak nastawił. Trzeba to teraz dla pewności zmienić!

— Co zmienić? — zapytał machinalnie Roman, który nie zastanawiał się nad treścią słów matki i dosłyszał tylko ostatnie słowa.

Co można było zmienić w historii tych dni? Nic. Trzeba było tylko uważnie patrzeć, jak toczą się dzieje. Trzeba było wydosłać się z tej sztucznej hodowli karp do życia, które nowe, inne, zmienione, miało się rodzić na skraju tej wiecznie niespokojnej ziemi, między Piną i Bugiem.

Żegnać, opuszczać skazanych przez historię, opuszczać ich w chwili decydującej, w chwili gdy los ich jest przesądzony, a nasz wybór może być jeszcze dokonany — to nie zawsze jest tchórzostwo lub zdrada. Często łatwiej bywa zginać wspólnie niż zdecydować się na ocalenie samemu. Tym razem zwyciężyło we mnie przekonanie o niesłuszności sprawy Lambertów, o bezcelowości dalszej ich gry na scenie świata, choć sam w tej grze brałem przecież udział. Pod wpływem gwałtownego wstrząsu spadły ze mnie lambertowskie opończki, którymi dotąd byłem owinięty przed światem, choć czas wojny tu i ówdzie już je poszarpał. Historia często ułatwia nasze postanowienia, utwierdza nas w słuszności naszych niejasnych myśli, bywa akuserką naszych czynów. Pomaga, jak w czasie egzaminów dojrzałości nauczyciel ulubionemu uczniowi, w rozwiązaniu trudnego zadania.

Kukulka w domu starego Brzeskiego, perfidnie zapytana przeze mnie o czas trwania rodziny Lambertów, odpowiedziała trafnie. Może dlatego, że była mechaniczna, a najpewniej dlatego, że nie postawiłbym jej pytania, gdybym z góry nie znał odpowiedzi.

Koniec Lambertów był bliski. Bez domu, bez karp, coż znaczyć będzie Roman, Julia, Ludwik? Jedyny Gabriel — lekarz, trwałby nadal i byłby potrzebny, ale Gabriela tu nie było.

Czy miałem tu pozostać, potwierdzać, że muszę trwać na tych moryschach, w tym starym domu dziadka Leopolda? Nikt nie ma obowiązku wierności dla rzeczy i spraw umarłych, o których wie, że jak z wyłożonej ziemi, nie już z nich nie wzrośnie. Miałem prawo wyboru, miałem prawo zdrady. Ja jeden noszący to nazwisko widziałem Lambertów naprawdę. I ten właśnie pełny ich obraz pozwolił mi porzucić ich bez żalu i bez wyrzutów sumienia.

Przybiegł Grzegorz i powiedział coś po cichu Romanowi.

— Chłopi spuszczały stawy — rzekł krótko Roman, jakby przed siebie. Ludwik w sąsiednim pokoju przerwał w pół taktu. Wyszliśmy przed dom. Ten staw trwał jeszcze nietknięty. Ale w oddali gwałtownie obniżała się powierzchnia sąsiedniego stawu i słychać było szum wody ściekającej do kanałów.

— Mogą nocą napaść na dwór. — Mówił Roman nie patrząc na nas. — Trzeba będzie się bronić! — ciągnął z bladeńskim tonem w głosie, jak gdyby rozmawiał z pułkownikiem Pujdakiem. Młody Forcajg, jego siostry, ciocia Regina i ja milczeliśmy. Ruszyłem naprzód.

— Uważaj, bo cię chłopcy zabiją! — krzyknął za mną Roman.

Powoli szedłem przez groblę. Staw opróżniał się szybko. Zaniepokojone, karpie pływały tuż pod opadającą powierzchnią. Za godzinę staw będzie bez wody — pomyślałem. Tam, gdzie wbita była w ziemię, podniesiona teraz drewniana słupa, stało dwóch białoruskich rybaków, ściągnęli machorkę. Patrzyli z zadowoleniem na obniżającą się powierzchnię wody. Nie wyglądali wojowniczo. Dostrzegłem mnie, zafasowali się i po chwili, widząc moją miejską odzież, pokłonili się, zdejmując słomiane kapelusze. Zrozumiałem, że spuszczenie stawów jest czynnością symboliczną, umożliwiającą im po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zmanifestowanie ich widzimisie, niczym nieskrępowanego.

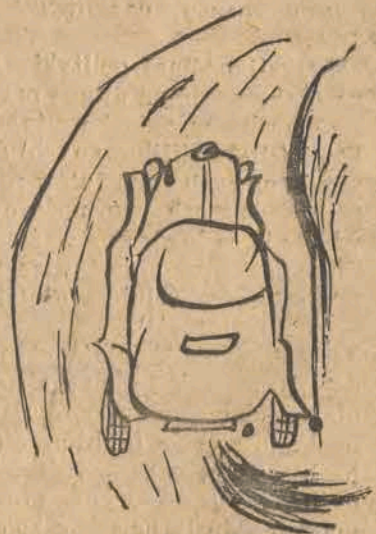
Wracałem w kierunku domu. Myślałem o tym, że się nie stanie strasznego, jeśli wyzdychają karpie dziadka Leopolda. Kto inny przyjdzie, napuści wody do stawów, poprowadzi hodowlę. Może ten sam rybak, który dziś spuszcza stawy, może inny. Ale jedno wiedziałem napewno — Lambertowie nie potrafią prowadzić już hodowli. Nie potrafią żyć. Mogą conajwyżej ustawić czaję przy cudzej zdobyczy, korzystać z cudzej ziemi, z cudzej wody, z cudzej pracy. Ale sami nie już nie potrafią zrobić. Z otwartego okna dobiegły mnie pierwsze taktory marsha. To Ludwik wrócił do muzyki.

Wszedłem do salonu. Nawet mnie nie zauważył, pochylony nad klawiaturą, z trudem wyszukując klawiszów. Na stoliku leżał oprawny w skórę album. Pomyślałem, że ja jeden, jeśli zamierzam stąd odejść, mam prawo i obowiązek zabrać go i przechować. Jeśli odchodzę, to nie znaczy, że wstydę się Lambertów, że się ich wypieram — odchodzę, bo nie tu już nie ma — ani życia, ani śmierci, tylko nadaremna obrona czasu, który nie może trwać, tylko lek przed zmianą, która musi nadejść, tylko skostnienie...

Wychodziłem stąd, tak jak przyszedłem: głównymi drzwiami. Nie zabierałem ze sobą nic prócz albumu, tak jak uczony, który z wykopalisk unosi tylko rzeczy najbardziej go interesujące, takie, które mogą pomóc w zbudowaniu hipotezy. Szkłane drzwi jadalni były rozsunięte. Zatrzymałem się, ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Ciotka Julia kiwała potakująco głową. Roman patrzył w okno. Ludwik miał oczy wpołprzymknięte i głowę przechyloną w bok. Patrzyłem na nich chwilę, by utrwalić ten obraz.

Szedłem wąską groblą, między dwoma stawami. Wody w nich już prawie nie było. Ogromne, pozielone ze starości karpie, obrośnięte wodorostami, leżały na dnie ogromną ławicą. Od czasu do czasu słychać było kłanienie ogonów o łuski. Karpie otwierały miarowo podkowy wielkich ust, skrzela poruszały się gwałtownie jak wachlarze. Stare ryby mogły długo żyć nim usną. Ale to już nie było życie, tylko oczekiwanie snu. Szedłem szybko i nie chciałem się nawet zatrzymać, by dokładniej przyjrzeć się ich śmierci. Od stawów bowiem ciągnął zimny zapach zgnilizny.

Paweł Hertz



Prawda gospodarcza w zaczarowanym kręgu

(Dokończenie ze str. 5-tej)

Jeśli uwzględnimy, że ludność Polski wzrosła w okresie międzywojennym o około 20 procent, ocenimy dopiero sens i znaczenie „tych linii rozwojowych, w sposób naturalny, wynikających z logiki gospodarczej i harmonizujących z celami politycznymi i gospodarczymi państwa”. Zdanie zaś, że „przewlekłe metody leczenia były możliwe i właściwe” nabiera właściwego tonu.

Autor nie zaznaczył również, że poważną przyczyną słabego rozwoju produkcji było odejście się od rynku rosyjskiego, spowodowane niechęcią i niemożnością nawiązania przez ówczesne koła rządzące Polski stosunków dobrosąsiedzkich ze Związkiem Radzieckim, co wyrażało się w tym, że obroty handlowe z Niemcami były w 1938 r. dwadzieścia kilka razy większe niż ze Związkiem Radzieckim.

CIEKAWY DOKUMENT.

Wspomniałem wyżej, że książka p. Jastrzębowski posiada dzięki bezpośredności obserwacji charakter cennego dokumentu. Czwartą i ostatnią część książki, napisaną w 1943 r., zawierającą przewidywania odnośnie okresu powojennego, autor sam nazywa „pewnego rodzaju dokumentem”, ponieważ „zawarte w niej poglądy nie są jego osobistą i oryginalną własnością”, i, jak sędzi, „były one dość rozpowszechnione” (str. 184). Otóż, moim zdaniem, wspomniana część nie może być traktowana jako dokument w tym samym znaczeniu, co główna część książki i, prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiem, jaki miało cel wydrukowanie w 1946 r. przewidywań co do stosunków powojennych z 1943 r., kiedy w 1946 r. stosunki te już były względnie dobrze znane. Wydaje mi się, że znacznie bardziej celowe byłoby powiązanie skutków gospodarki niemieckiej w Polsce z konkretną bieżącą polityką gospodarczą, którą Jastrzębowski zna i w której bierze swój udział.

Pomijam w dalszym ciągu mniej lub bardziej mgliste, mniej lub bardziej trafne przewidywania autora co do ukształtowania się rozmaitych elementów materialnych i psychicznych po zakończeniu wojny. Niektóre z nich są istotnie trafne. W roku 1946, a więc w roku wydania książki, te przewidywania nie mogą być przedmiotem zainteresowania ekonomisty. Ale zarówno dla polityka, jak i dla ekonomisty bardzo ciekawe będzie poznanie zamierzeń programowych sformułowanych w omawianej części książki. Tym ciekawsze, że, powtarzam, „zawarte w niej poglądy nie są osobistą i oryginalną własnością (autora) i... były dość rozpowszechnione”, jak moge przypuszczać — w środowisku autora.

Postaram się zaprezentować je czytelnikowi, cytując możliwie in extenso i zachowując w miarę możliwości porządek przyjęty przez Jastrzębowski.

- 1) Celem wyrównania strat w zawodach inteligenckich „wypadnie zastosować szeroki system stypendiów publicznych, doraźnie zaś uruchomić urzędników, mających na celu wyselekcjonowanie ludzi, którzy w działalności praktycznej osiągnęli kwalifikacje zawodowe wyższe od swego cenzusu naukowego” (str. 390).
- 2) „W skali ogólnej polityki gospodarczej szczególną uwagę przypisywać trzeba, w związku z tymi brakami (sił kwalifikowanych) do tworzenia nowych warsztatów pracy w tych działach gospodarowania, gdzie nie są konieczne wyższe kwalifikacje zawodowe, więc przede wszystkim w rolnictwie” (str. 391 — podkreśl. moje).
- 3) Jako doraźnie działający półśrodek „uruchomić by można urzędników specjalnych, przypominających w ogólnym zarysie te, które stosowane bywały w okresach demobilizacyjnych, jak np. roboty publiczne, masowe instytucje szkoleniowe i t.p.” (str. 392).

- 4) „Zabezpieczenie odbudowy i rozbudowy aparatu gospodarczego przed wpływami upłynięcia i zaginięcia dysproporcji między zasobami sił ludzkich a kapitałem zainwestowanym” (str. 393). Chodzi mianowicie o stworzenie takich warunków, aby prymitywne warsztaty, oparte głównie o własną pracę ich właścicieli, żyjących na niskiej stopie życiowej, nie konkurowały z urzędami współczesnymi o wyższej organizacji technicznej.
- 5) Otworzyć „dla tej masy ludzkiej (pozbawionej warsztatów pracy) ujęcie ku jakimś zupełnie nowym procesom gospodarczym, nowym warszatom pracy, czy nowym terytoriom” (str. 394 — podkreślenia autora).
- 6) „Rozszerza się zakres działań, jakie wedle powszechnego przekonania publiczna polityka gospodarcza powinna podjąć oraz zakres świadczeń, jakich polityka ta może się od ogółu domagać. Dalsze powiększenie sfery działań gospodarczych państwa wynika z faktu, że bardzo poważna część majątku społecznego znajduje się w bezpośredniej jego dyspozycji, mam tu na myśli mienie bezpieczeństwa, pozostałe po osobach wymordowanych i usuniętych” (str. 402 — podkreśl. moje).

I to wszystko. Rozumiem, że mogłem czytelnikowi sprawić rozczarowanie tym programem. Nie moja w tym wina. Ze sporego kotła różnych ogólników wyłowilem wszystkie oka, znajdujące się w tym rosolu. Jak eufemistycznie, marginalnie i niemal wstydliwie została sformułowana kwestia reformy rolnej! A zamiast upaństwowienia przemysłu proponuje się tutaj wyciągnięcie ręki, do której ma wpaść dojrzały do upaństwowienia owoc beznadziei. Jakież to szczęście dla kraju i narodu, że nie ci ludzie ujęli ster naszej gospodarki, wśród których te poglądy były „dość rozpowszechnione”.

Na usprawiedliwienie autorów cytowanego „programu” można by powiedzieć, że powstał on w połowie 1943 r. W rok później został proklamowany Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, który stworzył podwaliny obecnej polityki gospodarczej, dającej rezultaty, zdumiewające, nawet tych, niechętnie do nas usposobionych cudzoziemców. A przecież Manifest nie wyskoczył nagle jak Minerva z głowy Zeusa, lecz był owocem porozumienia i przygotowawczej współpracy wszystkich demokratycznych elementów w kraju i zagranicą, wrogo odnoszących się do t. zw. „rządu londyńskiego”.

Istotnie, trzeba przyznać, że reprezentowany tu program niewiele różni się od realnej polityki gospodarczej Polski przedwojennej. Jastrzębowski, zdaje się, ma świadomość tego. Różnica według niego miałaby polegać na szybkości i gruntowności. „Rozwiązanie (problemu ekonomiki polskiej — przyp. Z. W.) wymagać będzie radykalnych, szybciej skutkujących metod działania i intensywniejszego niż dawniej wysiłku... Zadanie może być rozwiązane szybciej i gruntowniej, aniżeli to było możliwe w warunkach przedwojennych” (str. 345). „Obecny stan choroby może się okazać groźny, ale też czyni możliwym i właściwym użycie metod leczenia ostrych typu chirurgicznego, prowadzących do szybkiego i radykalnego uzdrowienia” (str. 396). Konfrontując jednak ten radykalizm z zasobem proponowanych środków, nie można nie przyjąć do wniosku, że ma on jedynie charakter werbalny. Nie mniej jednak nie jest on pozbawiony, jak zobaczymy, pewnego charakterystycznego zabarwienia.

Nie zostały nam przedstawione materialne, konkretne, ekonomiczne przesłanki dla proponowanego przez Jastrzębowski radykalizmu. Na czym więc bazuje autor swój radykalizm? Zaczęło od czynnika, choć nie najważniejszego dla Jastrzębkiego, to nie mniej

jednak bardzo charakterystycznego. Przy analizie procesów odbudowy gospodarczej po pierwszej wojnie światowej autor kładzie szczególny nacisk na fakt, że konieczność budowy nowego aparatu państwowego stanowiła ogromną trudność w stworzeniu stabilizacji gospodarczej i że trudność ta obok trudności związanej z zespoleniem dzielnie usunęła w cień sam proces odbudowy zniszczeń wojennych. Według przewidywań autora trudność ta, absorbująca ogromną energię społeczną, miała nie zaistnieć ze względu na „nieprzerwane istnienie naczelnych władz państwowych...”, zawsze liczącą jeszcze kadre pracowników publicznych i nieprzedawniony ustrój prawny i administracyjny” (str. 397 — podkreśl. moje). „Po wojnie obecny problem konsolidowania społeczeństwa i jego państwowej formy organizacyjnej w ogóle istnieć nie będzie. Szkody w tej dziedzinie mają tylko powierzchowne znaczenie” (str. 396). Słowem, żeby tę myśl wyrazić do końca, wróć z Zachodu „nieprzerwanie istniejące naczelną władzę państwową”, wyjdą z ukrycia naznaczeni już dawno kierownicy administracji, którzy się już przygotowują „do objęcia dawnych funkcji” (str. 396) i stary taniec w zaczarowanym kręgu rozpocznie się od nowa.

Ten taniec ma jednak być ożywiony nowym duchem. I ten nowy duch — wyrażający się w skoncentrowanych czynnikach emocjonalnych ma być podstawą wspomnianego radykalizmu.

Jastrzębowski wielokrotnie zupełnie słusznie podkreślił wielką, zadziwiającą wprost odporność psychiczną narodu polskiego, okazaną w czasie ubiegłej wojny oraz nagromadzenie sił psychicznych, żywotność, upór, głęboką wiarę w swe siły oraz optymizm. Te wszystkie cenne walory okazuje niewątpliwie naród i obecnie, dźwigając zniszczony kraj z ruin i realizując w zadziwiającym tempie program odbudowy. Czynniki psychiczne stanowią bezsprzecznie ogromną siłę w ekonomice, ale tylko wówczas, gdy zostają wprężone w jakiś realny, konkretny program społeczny i gospodarczy, który stanowi dla nich konkretną, materialną bazę. U p. Jastrzębowski wobec braku tej bazy wszystko jest odwrócone. Dla niego wartości psychiczne stanowią główne i najważniejsze przesłanki, których zakres należy „rozszerzyć również na wartości materialne” (str. 403) (podkreśl. moje). Stąd u niego te często powtarzane zwroty: „napięcia sił ekonomicznych”, „skoncentrowanie sił żywych”, „akumulacja sił psychicznych i organizacyjnych”, „potencjał psychiki gospodarczej” i t.p. W pewnym miejscu powiada on: „Podłoże dla pomysłu wykonania tego zadania (szybkiego znalezienia nowych warsztatów pracy) będzie korzystne zwłaszcza z punktu widzenia stanu psychicznego społeczeństwa; ma ono napięcie woli i poczucie siły, potrzebne do radykalnego wyrwania się z „circulus vitiosus”, w którym od dziesiątków lat dusi się ekonomika polska” (str. 406 — podkreśl. moje). Czyż to wszystko nie przypomina cytowanego przeze mnie uprzednio zdania Jastrzębowski: „U podłoża obowiązującego w Niemczech światopoglądu... leżało przekonanie, że najważniejszym, czy może jedynym czynnikiem, kształtującym warunki życia, jest wola jednostki ludzkiej, twórcza wola — „der schaffende Wille” (str. 43 — podkreśl. moje)?

W KRĘGU CHOCHOŁA.

Kiedys, gdy jako młody, przewrażliwiony student, po raz pierwszy oglądałem na scenie „Wesele” Wyspiańskiego, tak byłem wstrząśnięty i urzeczony ostatnią sceną, w której goście weselni tańczą w zaczarowanym przez Chochola kręgu, że z trudem opanowałem się, by nie podbiec i nie wyciągnąć z tego kręgu sympatyczniejszych mi gości. Ta reminiscensja nasunęła mi się przy czytaniu książki Jastrzębkiego.

Zygmunt Jan Wyrzembski



PRZEDPOKOJE WATYKANU

MONSIGNORE Giovanni Montini jest błąd, kościaty i chudy, ma żółte, zapadłe policzki. Monsignore Domenico Tardini jest gruby i ma policzki różowe. Ten stary kokiet przypomina chwilami portrety pałatów, malowane w drugiej połowie XVIII wieku, które, z odległości paru kroków wydają się przedstawiać starsze już, lecz niemniej zalotne rokokowe markizy. Monsignore Giovanni Montini Lombardczyk o ascetycznym wyglądzie, który z daleka przypomina czarną, chudą tyczkę, jest praktyczny i drobiazgowy, skąpy, spokojny, trzeźwy. Monsignore Domenico Tardini lubi dozwalać kuchnię, ciężkie wina i ryzykowne anegdoty, których by nie powstydził się kardynał de Retz. Monsignore Giovanni Montini nie mówi, tylko uważnie słucha i od czasu do czasu zapisuje coś drobnym i kształtnym pismem w małym czarnym notesiku. Monsignore Domenico Tardini jest mądry i zjadliwy, niejedną wysoki infułat Kościoła poczuł na sobie ślady jego ostrego języka.

W ręku tych dwóch, tak niepodobnych do siebie, znajduje się cała polityka Watykanu. Papież, wzorem renesansowym, jest sam swoim sekretarzem stanu. Podsekretarzem od ofiar nadzwyczajnych jest Monsignore Tardini, od spraw zwyczajnych Monsignore Montini. Montini załatwia wszystkie sprawy bieżące, utrzymuje kontakt z akcją katolicką we wszystkich krajach, wydaje rozkazy i zbiera wiadomości, które z naszego kraju idą zawsze dziwną i skomplikowaną drogą na ręce ojca Prescieu, słowem, generalnego przedstawiciela zakonu Jezuitów na wschód i południe Europy. Jeśli Montini jest taktikiem Watykanu, Tardini jest jego strategiem. On ustala główne linie polityki papieskiej na wiele lat z góry, opracowuje przyszłe konkordaty, ustala stosunek rzymskiej kurii do wszystkich państw.

Tylko z daleka polityka Watykanu wydaje się jednolita i prosta. W rzeczywistości w tym małym państwie, u którego bram kroczy średniowieczny halabardnik, a które dla przeprowadzenia swych planów używa najbardziej nowoczesnych środków techniki politycznej, mierzą się ze sobą najbardziej sprzeczne tendencje.

Monsignore Giovanni Montini wierzył w zwycięstwo Niemców. Klerowi polskiemu doradzał uległość i lojalność. Wierzył, że po zwycięstwie Niemców nad Rosją Hitler powierzy klerowi wielkie dzieło powrócenia schizmy na łono Kościoła. W tych planach nieposłuszną rolę odegrał młody Hlond.

Monsignore Tardini przewidywał klęskę Niemiec. Miał rację i papież do dziś dnia nie może mu zdaje się tego darować. Tardini dążył oddawać, aby głową Kościoła katolickiego w Polsce stał się Metropolita Sapięha. Może widział w nim bardziej nieugiętego wobec Niemiec reprezentanta polskiego duchowieństwa, może ostatniego pana feudalnego na wschodzie Europy.

Montini dopiął swego. Hlond został prymasem Polski, płacąc się po przedpokojach Watykanu nieszczytny Papee, ambasador londyński, konkordat został zerwany. Ale Tardini uzyskał jedno: Metropolita Sapięha otrzymał kapelusze kardynalski. Watykan nie spieszył się. Czymże jest rok, czy dwa, czy pięć wobec wieczności? Watykan czeka, nie spieszy się z ustaleniem swego stosunku do Polski. Dobrą rzeczą jest stworzenie partii katolików, ale czy trzeba się z tym spieszyć? Zawsze jest czas uznać ludowe rządy i demokratyczne państwo. Mówią już niektórzy o nielacie Hlonda, którego winią w Watykanie za niepotrzebne zaostrożenie stosunków.

Może. Sprawa Polski jest tylko drobnym punkcikiem na wielkiej karcie polityki watykańskiej. Muszą naprzód zawieść lub zawalić się ambitne plany wielkiej polityki.

Kiedy skarżono się przed Alfonsem Karo na nadmiar propagandy powiedział: „Nawet sam Pan Bóg potrzebuje dawców”. Nigdzie chyba to zdanie nie wydaje się tak prawdziwie jak w Rzymie.

Watykan jest biedny. Watykan jest zrujnowany. Oddawna jedyne pieniądze jakie wpływają do skarbcza św. Piotra przynosi Ameryka i może dlatego tak często wymieniają nazwisko amerykańskiego kardynała Spellmana, który tak troszczy się o losy Niemiec, jako następcy papieża.

Może dlatego ojciec Walsh z Towarzystwa Jezusowego przejechał wzdłuż i wszerz Związku Radzieckiego w mundurze oficera U. S. Może dlatego legatam papieskim został Gerard O. Hara, biskup Savannah, a nuncjuszem papieskim przy marszałku Tito Monsignor Hurley, Amerykanin.

Co robić? „Dieu lui même a besoin de clothes”.

KANDYD

JOHN BERTLOW MARTIN

Ilustr. Regina Kańska

Pierwsze powojenne lato miasta Muncie

(dokończenie z Nr 47)

OBOK biur Związku Harcerzy miasta Muncie mieścił się sekretariat Izby Handlowej. Młodzieńcy, szczupli mężczyźni, sekretarz tej instytucji, Fay Paul, oświadczył: „Sytuacja Muncie jest znacznie lepsza niż innych miast zarówno pod względem szybkości przedstawiania się z produkcją wojenną na pokojową, jak i wydajności fabryk i warunków pracy”. Przemysł miasta Muncie pracował z maksymalną wydajnością, ale powstała tylko jedna nowa fabryka, obecnie przejęta przez Warnera. Zresztą większość miejscowych fabryk to samo produkowała w czasie wojny co teraz. Po prostu części samochodów od Warnera używano w czasie wojny do montażu jeepów zamiast samochodów osobowych i fabrykanci nie musieli przestawiać produkcji na nic innego i żadna część fabryki nie przestała pracować ani przez chwilę.

Zapytałem, czy, jego zdaniem, strajki godziły w miasto Muncie. „Najbardziej szkodziły samym strajkującym — odparł Paul — najmniej kapitalistom”. Poczynając porównanie sytuacji miasta Muncie, w którym strajkowało 30 — 40 proc. robotników przemysłowych do sytuacji w Anderson, gdzie strajkowali pracownicy General Motors, stanowiący dziewięćdziesiąt dwa procent wszystkich robotników i strajk samochodowy położył miasto na obie łopatki. — Tak, czy inaczej, — ciągnął Paul — sprawa strajków nie schodzi z porządku dziennego żadnego zebrania Izby. Państwo powinno zakazać strajków. Jeśli Związek Zawodowy będą ponosił równą z kapitałem odpowiedzialność za przejście od produkcji wojennej do pokojowej, będziemy mieli okres prosperity, o jakim nie słyszano się od lat”.

— A co potem?

Uśmiechnął się i przechylił głowę: — Potem będzie prawdopodobnie nowy krach.

Na biurku Mr Paula zadzwonił telefon. Rozmowa toczyła się wokół planów lotniska, które miało być zbudowane kosztem miliona dolarów na użytek trzech miast: Muncie, Anderson i Newcastle. Wielu kapitalistów i towarzystwa akcyjne miało już własne samoloty i zamówiono więcej niż dwieście nowych samolotów w fabrykach.

Po przeciwnej stronie ulicy tylko kilka osób stało w biurze pośrednictwa pracy. Jakże inaczej było dwa lata temu, kiedy to biuro pośrednictwa pracy było najruchliwszym punktem w mieście. Dziś popyt na pracę jest równy podaży.

Dane biura pośrednictwa pracy wskazują, że najwyższą liczbą robotników zatrudnionych w czasie wojny w Muncie wynosiła dwadzieścia dwa tysiące ludzi. Zaraz po zwycięstwie nad Japonią cyfra ta opadła do piętnastu tysięcy, ale w marcu tego roku cyfra pracujących podniosła się znowu do osiemnastu tysięcy (pomijając strajki). W lipcu powinniśmy przekroczyć maksimum wojenne. Przemysł budowlany domaga się tysiąca dodatkowych robotników, a sklepy, stacje kolejowe i restauracje potrzebują nowych pracowników. Obraz zatrudnienia w Muncie przedstawia się w jak najlepszym świetle. Wielu ludzi bało się powojennego kryzysu — wyobrażano sobie bezrobotnych i zdemobilizowanych żołnierzy walczących o pracę, a to się dotąd nie stało. Kobiety wróciły do domów. Wielu ludzi z gór i farm zasmakowało w życiu miejskim i nie chce wracać do swoich miejsc rodzinnych.

Kiedy poznałem Eda Crago, dwa lata temu, był jednym z pracowników u Chevroleta i został właśnie przewodniczącym rady przemysłowej okręgu Delaware. Był pełen powagi pod brzemieniem odpowiedzialności. W maju owego roku stał się mężem stanu w miejscowym CIO. Był członkiem komitetu Waltera Reuthera w pertraktacjach z General Motors. Więcej czasu spędzał między górą związku ruchu zawodowego w Detroit i Michigan niż w rodzinnym Muncie. Przygotowując się do przyszłego stanowiska międzynarodowego przedstawiciela UAW (unii pracowników przemysłu samochodowego) zlikwidował wszystkie swoje prace w związkach zawodowych w Muncie z wyjątkiem jednej i ma zamiar wrócić przestać pracować w fabryce, poświęcając się całkowicie pracy organizacyjnej. Kiedy siedzi przy stoliku w klubie

CIO wśród stukotu bilardów i wrzasku grających pianoli, co chwila podchodzi do Crago, który z członków związku z pytaniami i prośbą o radę.

Przysiadł się do nas Harold Cronin, następca Crago na stanowisku przewodniczącego rady CIO w Muncie. Zapytałem, czy ich zdaniem strajk w General Motors opłacił się, Crago uśmiechnął się. — Oczywiście, jeśli założymy, że uda nam się utrzymać obecne ceny.

Zapytałem*co się stanie, jeśli OPA przestanie obowiązywać. Roześmiał się z mego niezbyt mądrego pytania. — Będzie taka inflacja, że trzeba będzie na jej określenie jakiegoś nowego słowa.

Jedną z wystaw księgarni Mr Penzela wyłożona jest specjalnie książkami o budownictwie małych domków. Interesujące obrazki malują przed oczami widza wspomniane „ranch houses”, ale nie tłumaczą bynajmniej, w jaki sposób z obrazka przebieść je w rzeczywistość, na grunt Muncie. Przedsiębiorca budowlany, Mr Bartel siedział w swoim biurze i narzekał. Czy sytuacja mieszkaniowa w Muncie przedstawia się rzeczywiście tak tragicznie? „Okropnie! Dlaczego? Ach żeby tak poprzedzać tych wszystkich pedzłwiatrów i fantastów z Waszyngtonu — mam na myśli zwolenników rooseveltowskiego New Dealu, którzy obsiedli administrację przed szesnastu laty, to wtedy może by...” Zapoznał mnie szczegółowo z powodami swego niezadowolenia. — „Weźmy na przykład dyktę. Jest do diabła i trochę dyktę, ale FHA (Federal Housing Administration) nie pozwala nam jej używać. Dlaczego? Bo chce ją oddać na seryjną produkcję małych domków”.

Albo z innej beczki: „Nie można dostać na rynku pewnych części instalacji budowlanych, bo rząd nie pozwala fabrykantom podnieść ceny na nie, a przy dzisiejszych cenach nie opłaca się ta produkcja. Ach ta przeklęta OPA!” Albo co innego: „Chce pan wiedzieć, dlaczego nie buduje się domów czynszowych? Mój Boże — zaciśnij palce na krawędzi biurka i skóra na jego tyłku pokryta się zmarszczkami — płacimy pięćdziesiąt procent więcej za materiały niż przed wojną, a komorne wolno pobierać według urzędowych stawek OPA z roku czterdziestego drugiego. Teraz pan wie dlaczego!”

Postać mego rozmówcy, niewielkiego wzrostem, gineła na tle wielkiego gabinetu. Spytałem, co jego zdaniem należy zrobić. „Myślę, że trzeba ruszyć zdrowym rozsądkiem. Znieść kontrolę cen. Nie wygrywać jednych przeciwko drugim. To nie jest po amerykańsku”.

— Co pan rozumie przez wygrywanie jednych przeciwko drugim?

— Na przykład wygrywanie producentów seryjnych domków przeciwko przedsiębiorcom budowlanym.

Każdy, kto ma pieniądze, chce mieszkać w własnym domu. Bardzo pięknie — jeśli mają czym zapłacić. Ale jak długo będą mogli? Już daje się zaobserwować niższe ceny starych domów. Ceny ich są za wysokie jak na możliwości byłych żołnierzy, którzy dostają teraz zasiłek od państwa — chłopcy kupują, nie mając gotówki. Buduje się teraz około dwustu domów — ostatecznie wykopać ziemię pod fundamenty potrafi każdy — ale jak dojdziemy do pięciuset, to weterani zapagną kupować owe nowe domy, a nabywane dzisiaj na spłaty pod gwarancją państwa będą pozostawać państwu wraz z długami. Zobaczy pan co będzie w przyszłym roku...”

Pewien dyrektor instytucji finansowej powiedział mi, że odrzuca ona połowę podań o pożyczki dla eks-żołnierzy na budowę domów. „Oceniają to właściwie w niedalekiej przyszłości, choć dotknęli są dzisiaj odmową”.

Przed pięćdziesięciu laty Muncie była małym miasteczkiem wśród farm i do dzisiejszego dnia pozostała miejscem zakupów okolicznych farmerów i sprzedaży ich produktów. Wielu robotników i dyrektorów fabryk pochodzi z tych farm. Jak powiedział się farmerom pierwszego powojennego lata?

Walker Baker, okręgowy kontroler ubezpieczeniowy, szedł ze mną drogą pokrytą masą, przypominającą asfalt. Droga przecinała falisty krajobraz o głębokich tonach wilgotnej zieleni. Domy na farmach utrzy-

mane w dużo lepszym stanie, niż domy w mieście, były w większości świeżo malowane. Białe stodoły i białe kurczęta odcinały się jasnymi plamami od wszechpanującej zieleni traw i szarego nieba.

Zbiory i ceny były jednakowo dobre — stwierdził Baker.

Trudno się było żalić, skoro farmerom udawało się spłacić dług przed terminem i jeszcze złożyć w banku oszczędności o jakich dawniej im się nie śniło nawet. Prawie wszyscy dłużnicy FSA⁹⁾ spłacili swoje zobowiązania w czasie o wiele krótszym od przewidywanego. Dwóch dłużników

spłaciło w ciągu pięciu lat zobowiązanie rozłożone na lat czterdzieści.

Bankier Wingate przypomniał mi niedawno wydarzenia sprzed dwudziestu pięciu lat: „Farmerzy mający osiemdziesiąt akrów ziemi dokupywali grunt, płacąc po dwieście pięćdziesiąt — trzysta dolarów za akr. Dokupywali dwa razy więcej niż posiadali przedtem i stracili wszystko w dniach kryzysu. Ale tym razem ceny ziemi nie podskoczyły tak bardzo i farmerzy kupują ją za gotówkę”. Mimo to Baker obawiał się, że niektórzy nakupili ziemi ponad stan. „Ludzie z Muncie też kupowali ziemię. Niektórzy w celach spekulacyjnych, inni dla lokaty pieniędzy w obawie przed inflacją i kryzysem gospodarczym”.

Na północ od miasta spotkaliśmy mężczyznę w niebieskim kombinezonie, jadącego na traktorze. Patrzył za nami, gdy okrążyliśmy nowoczesne zabudowania gospodarskie. Zsiadł z traktora i podszedł do nas. Nazywał się Ernest Freeman i był kierownikiem miejscowej spółdzielni jako jeden z najlepszych farmerów. Około pięćdziesiątki, w okularach w stalowej oprawie, miał wydatną brodę, żywe oczy, twarz zoraną zmarszczkami. Rozmawiał z nami oparłszy się o nasz samochód. Spółdzielnia, obejmująca cały okręg, miała w tym roku osiemset tysięcy dolarów obrotu. Tyle co w ubiegłym roku, a dwa razy tyle, co przed wojną. Zaczęło się od sprzedaży benzyny i oliwy. W ciągu ostatnich trzech lat spółdzielnia mogła zdobyć się na kupno dwóch dzwigni do ładowania ziarna, sprzedawała sztuczne nawozy i maszyny rolnicze oraz ubezpieczała farmerów. Obecnie pracowano w niej nad planem budowy wielkiej olejarni, wobec masowej uprawy soi. Przez trzy lata spółdzielnia przyniosła członkom siedem procent dochodu, które wypłacono w dywidendach i dwa procent w towarach. Resztę dochodu zużyto na rozbudowę placówki.

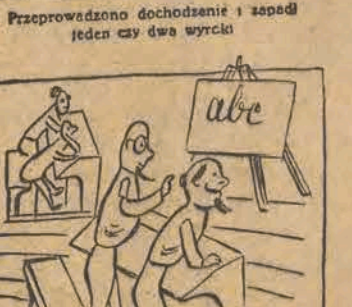
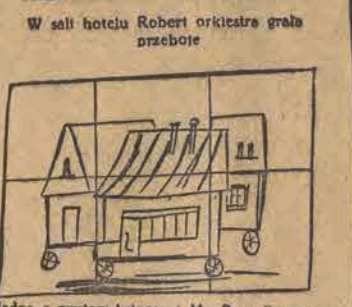
Freeman dotknął jednej z najostrzejszych walk toczących się dzisiaj na środkowym Zachodzie: usiłowanie zmusić członków spółdzielni do płacenia federalnego podatku dochodowego od spółek akcyjnych. „Wielki kapitał, kupcy zbożowi, bankierzy i Izba Handlowa utopili wiele pieniędzy w akcji, która miała nas złamać. Mogliby to zrobić tylko, gdyby udało im się posłać niezgodę wśród farmerów. Ale farmerzy zrozumieli siłę tkwiącą w zjednoczeniu. — Uśmiechnął się nerwowo. — Organizować się, to znaczy dla mnie trzymać się mocno jeden drugiego. Osobiście nie bardzo lubię znaczenie, jakie dziś ma słowo „union”. Kiedy dwa lata temu wysłuchałem przemówienia Waltera Reuthera w Milwaukee, powiedziałem po powrocie do domu, że uważam go za najradzykalniejszego człowieka w dzisiejszej Ameryce. I okazał się nim rzeczywiście”.

Kiedy przycisnąłem Freemana do muru twierdzeniem, że broni kontroli cen, tak samo jak Reuther, powiedział:

— Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy po sprzedaniu trzech wagonów świń i zapłaceniu podatków pozostało mi dziewiętnaście dolarów i osiem centów. (Czyż nie uderza nas niezwykle odwrócenie tradycyjnej sytuacji? Farmerzy, ludzie nie rozporządzający nigdy wielkim zapasem gotówki idą ręką w rękę z robotnikami przemysłowymi w obronie kontroli cen, a tymczasem kapitaliści, bankierzy i fabrykanci, a więc ludzie rozporządzający wielkimi rezerwami pieniędzy, domagają się zniesienia tej kontroli. I drugie zjawisko, przebiegające odwrotnie niż w czasie wojny 1914 — 1918: wzrost cen nieruchomości w miastach jest znacznie większy niż poza miastem).

Do mego pokoju na trzecim piętrze hotelu „Robert” dochodziły głosy pieśni śpiewanej na zebraniu związku Kiwini: „And let the rest of the world go by”. Zdążyłem już prawie wszystkich zapytać o to, czy Muncie jest mniej izolacyjistyczna niż przed wojną i prawie wszyscy odpowiedzieli: tak. Bezwątpienia świat zmusił Muncie do tego.

Artykuły wstępne miejscowej gazety „Star”, która zmieniła właściciela w ostatnim roku, poświęcone są głównie problemom polityki międzynarodowej i potrzebie współpracy całego świata, a nie spr-



wom miejscowym. Ale pewien spostrzegawczy człowiek powiedział: „widać większość ludzi, z którymi rozmawiam, to głupcy, bo dużo więcej jest gadania o braku masła, samochodów i białych koszul, niż o Narodach Zjednoczonych”. I nikt z moich rozmówców nie porusza pierwszy spraw międzynarodowych.

Pytanie ludzi o izolacjonizm dawało wyniki takie, jak gdyby pytano ich o pogląd na grzech. Wszyscy byli mu przeciwni. Japończycy zburzyli go. Trzeba spróbować czegoś innego. Czego? Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ale jaka ma ona być? Pewien urzędnik wyraził taką opinię: „Jest bezwzględnie potrzebna. Ale nie sądzę, żebyśmy mieli na jej rzecz zrzec się naszej suwerenności”.

Bankier przytoczył mi powszechną opinię o bombie atomowej: „Bardzo dobrze, że ją mamy, ale nie chcielibyśmy, żeby miał ją także ktoś inny”. Na pytanie czy czy mówi się wiele o sprawach międzynarodowych odpowiadał: „Mówi się dużo o Anglii, która krytykuje nasze stanowisko w sprawie pożyczki dla niej”.

Urzędnik FSA skonstatował: „Nie wierzę w istotne współczucie farmerów dla Europy. Nigdy go nie mieli. Wojna ich niewiele zmieniła. Obchodzą ich przede wszystkim własne kłopoty i chętnie zwałiliby winę za własne niepowodzenia na coś tak niechwytnego i odległego, jak „to co się dzieje w Europie”. To samo powiedzieć można o mieszkańcach miast.

O bombie atomowej po prostu nie mówi się. Pewien przemysłowiec powiedział: „Nikt bomby atomowej nie traktuje zbyt serio, przynajmniej w naszym mieście”. A kiedy spytałem o opinię w tej sprawie pewnego farmera, odpowiedział: „To wielka tajemnica” i roześmiał się. Ktoś z administracji federalnej odpowiedział tak: „Kiedy po raz pierwszy dowiedzieliśmy się o bombie atomowej, dusza uciekła nam w pięty. Czy może pan sobie wyobrazić niezmierną siłę, której pan nie widzi, której się człowiek nie spodziewa? Oczywiście wielu ludzi piekielnie się bało”. — Ale już się teraz nie boją? — spytałem. — „Nie, z bombą atomową jest tak jak z niesamowitymi scenami w filmie: publiczność drży w podnieceniu, ale po wyjściu z kina zapomina szybko. Ludzie nie lubią zapuszczać się zbyt daleko w rozmyślanach na te tematy”. Dziekan College'u uważa, że wojna nie zmieniła zasadniczego światopoglądu mieszkańców Muncie. Muncie jest wciąż jeszcze dla nich pepeklem świata. Są tu bezpieczni. Pewnego dnia ktoś może rzucić bombę na New York, ale nie tutaj”. Moim zdaniem bomba atomowa oznacza koniec jednej i początek nowej ery. Mam zamiar mówić o tym na posiedzeniu rady pedagogicznej — jestem człowiekiem przeżanym, widzi pan — roześmiał się nerwowo — a wie pan co mi profesorowie odpowiedzieli? „Nie wygląda to zbyt wesoło. Ale co pan rektor robi w sobotę wieczór?”

Pewien bankier, którego zaproszono do komitetu walki z izolacjonizmem odparł, że jest zbyt zajęty i ma dość swoich własnych spraw na głowie, a poza tym zaprzestał na pewien okres czasu zajmować się działalnością publiczną. Urzędnik zaś był niezdecydowany. „Tyle rzeczy dzieje się za kulisami, że nie wiadomo, komu wierzyć. Ilekroć otwieram radio słyszę sprawozdawców z posiedzeń Organizacji Narodów Zjednoczonych, że postanowili to, a zrobili tamto i że temu są przeciwni, a owemu nie, że wreszcie zamykam radio. Mam tego po dziurki od nosa. To nie jest właściwe zachowanie się w takiej sytuacji, ale co ja mogę na to wszystko poradzić?” Obawiam się, że uczucie zdziwienia i zaskoczenia przeważa ponad innymi w Muncie. Poza tym wiem, że lato roku czterdziestego szóstego nie było szczęśliwym momentem dla zbierania opinii w sprawach między narodowych, kiedy na głowę zwała się człowiekowi cała masa kłopotów codziennych. Trudno przejmować się sprawą Triestu, głodu w Europie, czy prawem weta w Organizacji Narodów Zjednoczonych, mając do zwalczania tysiąc trudności przy kupnie samochodu, domu, czy pary pończoch dla żony. A kiedy człowiek otwiera gazetę w czasie lunchu, to po przedostaniu się przez las wiadomości o głodujących robotnikach, czyta o braku surowców, powołującym zaprzestanie produkcji takich czy innych towarów. Równocześnie głos wielu Kassandr zapowiada przez radio koniec świata.

Ale ludzie mniej narzekają, niżby się tego spodziewać wypadało. Zmęczeni i odrętwiali po sześciu latach wojny, przyzwyczaili się do daremnych wysiłków. Ich apetyty, które ekonomiści nazywają „popytem”, odpowiednio zmalały. Ponieważ byli przy tym świadkami (jakkolwiek głównie z daleka) ogromnej ilości cierpienia, współczucie ich zmalało także. „Byłem tak zajęty swoimi biurowymi kłopotami, że nie interesowałem się tym, o czym ludzie mówią. Dawno nie słyszałem już inteligentnej rozmowy. Ludzie nie przejmują się głęboko, po prostu pływają po powierzchni spraw, które jakoś się same ułożą. Nie spotkałem się jeszcze z brakiem wiary w przyszłość. Wierzą, że jeśli uda się powstrzymać strajki, będzie nam się doskonale powodziło przez pięć lat”. — Pięć lat? Tak więc wygląda zaufanie do przyszłości? Większość ludzi przepowiada kryzys ekonomiczny w ciągu siedmiu lat, a może nawet przed. Kierownik kooperatywy ma nadzieję, że uda się tego uniknąć, śmieje się przy tym w taki sam nerwowy sposób, jak wtedy, kiedy mówi o bombie atomowej. Dziwne, ilu ludzi śmiało się, kiedy zagadywałem ich na temat krachu i bomby. Czyżby tych dwóch rzeczy bali się najmniej?

Najłagodniejsza opinia, jaką słyszałem o Trumanie głosiła, że „robi biedak co może”. Kierownik spółdzielni powiedział: „Nigdy nie zamierzał być prezydentem i nigdy nie będzie z niego prezydent. Jest ofiarą okoliczności, jak większość z nas”. Ktoś inny powiedział: „Przypomina mi to pewną historię, którą opowiedział mi jeden znajomek o swoim stryju. Otóż stryj ów przygrywał na fortepianie w domu publicznym przez dwa lata. Dopiero po upływie tego czasu odkrył, co się dzieje o piętro wyżej (nasza rozmowa toczyła się na tydzień przed akcją Trumanu w związku ze strajkiem kolejowym)”.

Ślady wojny widoczne były w niezliczonej ilości drobnych spraw. Whisky wyciągano spod kontuaru tylko dla stałych klientów, brak było taksówek, kuncy nie dbali o klientów, ludzie prowadzili samochody bardziej nerwowo niż dawniej, rzucali posady bez namysłu. W ubiegłym roku więcej było rozwodów niż małżeństw. Nawet wtedy, kiedy w sali hotelu Robert było mało gości, kelnerki śpieszyły się z przyzwyczajenia. Przy kasie wisiała flaga, a menu nadal prześladowane było potrawami z ryb, wątroby i jaj. W hotelach nie podawano posiłków do pokoi i restauracje zamykano o drugiej w nocy. W pokojach było ogłoszenie zaczynające się od słów: „W obecnych czasach ciężkiej próby uprasza się klientów o oszczędzanie czasu pracowników i bielizny pościelowej”. Ludzie łatwo obrażali się, nie chcieli wypowiedzieć opinii na drażliwe tematy, jak spory rasowe, czy walka pracy z kapitałem. Robotnicy zrywali się na panujące warunki pracy, których nie można było zmienić w czasie wojny. Nienawiść do strajków, do zdeprawizowanych rzekomo wojną i niechęć pracujących robotników stała się równie modna w pewnych kołach, jak dawniej modna była nienawiść do Rooseveltów.

Ale słodkie są drogi pokoju, mimo wszystko. W czasie śniadania dwóch mężczyzn rozmawiało o pierwszych powojennych wyścigach samochodowych w Indianapolis na trasie dwustu pięćdziesięciu mil.

Wystawa Stecka pełna była koszuł sportowych i kapeluszy panama, a sklep Banner Whitehill miał w oknach wystawowych meble ogrodowe z gładkiego metalu, lśniące lodownice i piece. Kobiety z klubu Przyjaźni wyszły z hallu hotelu Robert rozmawiając z sobą głośno i wesoło. Minął czas oczekiwania w przynębieniu na telegram z ministerstwa wojny o śmierci męża.

W wagonie restauracyjnym byłem jedynym gościem. Kelner był rad, że pozbył się już tłumów i że strajk kolejowy zawieszony do czwartku. W czwartek będzie już w domu, w Chicago. „Będę mógł wypocząć” — powiedział — po ciężkiej pracy ostatnich kilku lat”. Muncie pozostała za nami.

przekład Teresy Wionczek-Czarkowskiej

*) Walter Reuther — przewodniczący UAW.
*) FHA (Federal Housing Administration) federalne biuro kontrolujące ruch budowlany w Stanach w czasie wojny i bezpośrednio po niej.

*) FSA — Farm Security Administration — federalne biuro, wyznaczające ceny produktów farmerskich i rozdzielające między farmerów kredyty i premie państwowe.

KAZIMIERZ BRANDYS

PASJA I KUNST^{*)}



W TOMIE satyr Janusza Minkiewicza działa pewne prawo, które autor niewątpliwie dostrzegł. Między wiersze, limeryki i fraszki, zebrane z dziesięcioletniej twórczości, wnieśli jakąś ogólną instancję, poddając się surowemu odczytowi. Oczywiście mam na myśli czas. Tę najgroźniejszą, nieomylną, wszystko widzącą instancję minionego czasu. Książka Minkiewicza uległa jej w silnym stopniu. Wyszyła z niej przełamana przez prawdziwą hierarchię swych wartości i — choć nie mniej świetna — dziś przekazuje nam swą świetność w innej perspektywie. Bo odległość czasowa wyposaża w nowe widzenie struktur nie tylko faktycznych. Stwarza zmieniony odbiór zjawisk wyobraźni i myśli. Odbiór, poddany nowym rytmom znów narosłych doświadczeń i potrzeb.

W tej książce, powstałej z kunsztu i z pasji, wszystko co jest pasją zachowało swą ostrość. Minkiewicz można uważać za formalistę, zwłaszcza w limerycznej części tomu; ale ten formalista dostrzega tak często i tak przenikliwe wszelkie kalectwa treści społecznej, tak celnie trafia w źródło spazmów psychologii zbiorowej, że ilekroć zechce ich osiągnąć, zadziwia prostotą środków przy uzyskaniu pełni i głębi zamierzonego sensu. Satyra jest jedną z najtrudniejszych dyscyplin sztuki pisarskiej, narażoną na największe pokusy, wymagającą najdalej idących wyrzeczeń. W bezwzględnych skrótach, w brutalnie prostych konstrukcjach skojarzeń trzeba tu ogarnąć maksymalne zasięgi treści. W „Kazaniach i skargach” spotykamy liczne świadectwa najwyższych realizacji tego gatunku. Ilekroć formalista, twórca limerycznych kunsztów, rozbijanych i składanych rymów, asonansów wiązanych niby w ostatniej sekundzie przed katastrofą, natrafia na żywe zjawisko społeczne, na typ, na dewiację, ilekroć przymierzy swe sztywność do faktu, którego prawdziwa wymowa jeszcze nie jest jawna, lub już osłabiona — wówczas następuje spicie, rodzi się elektryczność, prąd przebiega w krótkich szybkich falach, znajduje wyraz w doskonale plastycznej emisji.

Z tych źródeł wynika np. arcydosadny sześciowersowy skrót o początku i końcu rządów sanacji:

„Swe rządy w maju zaczęli wprost:
Przeszli buńczucznie przez trzeci most,
Miedź zadzwiećwała, zaświstał bat,
Rządził Polską trzynastcie lat.
Rząd ich się skończył, jak zaczął, wprost:
Ot, w Zaleszczykach przeszli przez most.
Most, bat, miedź, most. Z trzech elementów najprostszych, najoczywistszych powstał obraz — zaludniony, barwny, ruchliwy, dialektyczny, dźwięczący. Jeden z najdoskonalszych skrótów w tomie, zawierający prócz plastyki, nieodpartą wymowę swej filozofii: przecież to podreżnik historii wszystkich faszyzmów świata! Tak się właśnie działo: Bat i miedź, a jeśli nie most, to rogatka, trybuna czy gmach, ale zawsze ów świst, brzęk, tętent, marsz, które wróciły skąd przyszły — w nicosie do źródła, do początku. Minkiewicz przeszedł wytrawną praktykę w operowaniu czystym absurdem i abstrakcyjną groteską. Przeszedł jak nikt inny ów tradycyjny w satyrze przedwzrostniowy staż. Ale też, jak nikt inny, potrafił go przezwyciężyć, obrócić na korzyść, wyciągnąć z niego wnioski najbardziej pozytywne. Pocucie absurdu stało się dziś w jego rękach fachowym instrumentem sztywności. Nie szuka go już w grze form, gdzie efektem staje się rytm, skład dźwięków wydobyty z zestawienia przypadkowych znaczeń. Śledzi go w treściach psychologicznych, w objawach życia społecznego, chwytą go w dynamice zjawisk zbiorowych i indywidualnych, i nie poprzestając na efekcie samego chwytu,

*) Janusz Minkiewicz: „Kazania i skargi”, Sp. Wyd. „Czytelnik”, 1946.

daje osąd, konkluzję. Pokazuje absurd, lecz nie konstruuje absurdu. Obnaża sprzeczność żywą, obecną, a odsłaniając groteskę, wyposaża ją w ładunek pasji, którą wytworzył w nim inny, niegroteskowy aspekt zjawiska: nie groteskowy, lecz tragiczny, nieraz groźny, upiorny. Są to utwory, gdzie krytyk znajduje dokument satyry najprawdziwszej: ironię i szyderstwo wyrosłe z powagi widzenia. Za przykład niech posłuży „Wierszyk historyzoficzny”:

„Banderowiec dał mu w gębę
Szaulis mu siedzenie sprął,
Niemiec wybił wszystkie zęby,
Potem kulę w łeb mu dał.
Nad śmiertelnym go barłogiem
Spytał ktoś, ciekawski zbyt:
— Kto największym twoim wrogiem?
Ów, nim skołał charknął: — Żyd!

Wiersz ten, który pamiętam z zakonspirowanego poranku literackiego w czasie okupacji w Warszawie, ukazuje potężną porcję absurdu. Nie ma tu „zakatarzonego kata”, ani „Katarzyny, kata żony”, nie ma „biskupa” ani „Davis-Cupa” — a jednak ten „pure nonsense” w najbardziej posępnym stylu spełnia przy pomocy najprostszych elementów formalnych funkcję artystyczną o dużym zasięgu, funkcję nieobecną tam, gdzie konstrukcja absurdu jest celem w samym sobie. A prztem — znów obraz, dobitny rzut, wiążący w tragiczno-groteskowy zespół zjawiska tak znane, tak boleśnie doświadczane. Cechą talentu Minkiewicza jest ów rzadki dar ukazywania nieodpartych prawd przez montowanie ze spojów zjawisk, zespołów nie fikcyjnych, lecz opartych na związkach najbardziej realnych, mimo iż ukrytych, niejawnych. W powyższym wierszu zespół cech pozornie sprzecznych został obnażony w jednym słowie: w ostatnim. To słowo ujawnia absurd — ale absurd realny, społeczny. Demaskuje antynomię — ale antynomię istniejącą rzeczywistości. Nie trzeba nic ponadto: w samym ujawnieniu realności owego zespołu zawarty jest osąd.

Daty umieszczone pod utworami objętymi przez „Kazania i skargi” mają swą wymowę. Na kartkach tomu Minkiewicza realizuje się widzialnie rozwój świadomości pisarskiej. Rozwój charakterystyczny. W przedwojennych studiach formalnych kształtuje się bogactwo środków, rozszerza się swobodny zakres kunsztu wersyfikacyjnego, poczem następuje faza selekcji już osiągniętych swobód. Zdobyte zostają poddane rygorom, łatwość kunsztu powściągnięta przez nakazy celowości. Ta droga pisarska znajduje swój widoczny wyraz w prostym zestawieniu utworów z różnych okresów. Przez „Kazania i skargi” przebiega bowiem wydany dział, ostro rozgraniczający kierunki widzenia autora z różnych lat. Najjaśkrawsza granica przypada na lata 1937 — 1939. W tych latach pasja uzyskuje coraz wyraźniejszy kształt ideologiczny. Powstają wówczas wiersze: „Hacha i A. H.”, „Rzepka” oraz „Przedmowa sejmowa”. Biegłość formalna w tych utworach przestaje już być suwerennym elementem artystycznym; staje się środkiem. Są to lata narastających treści, piętrzących się wydarzeń: wzrost agresji faszyzmu w Europie, demaskowanie się nicości sanacyjnej w Polsce, Ozon itd. Satyrykowi objawia się prawdziwy sens rzeczywistości, z jej absurdem, kłamstwem, groteskowym gestem, rozdzieniem frazesu. Tu zamyka się okres limeryku i sztuk formalnych, kunszt zaczyna nasycać się pasją, doskonałość techniki — treścią polityczną.

Okupacja dopełnia tego procesu. To, co wyniósł Minkiewicz z tych sześciu lat, nie wiele już ma wspólnego z dawną beztroską formalną „bukspanów” czy „otoman”. Na granicy ironii i goryczy rozwija swe kuplety:

„Do tego przechodnia, co kiedyś
w Warszawie
Niemcowi mnie wskazał, mrugając mu:
Żyd!...

Do tego żandarma, co w pewnej obławie
Odwrocił się tyłem, ufając mi zbyt...
Ku temu, co niegdyś, gdy drwiłem

z sanacji,
Osądził, że godny jest kulki we łbie,
Ku tym, co z wizytą raz podczas kolacji
Przybyli, lecz w domu nie było już mnie...

Kuplety noszą tytuł „Przepraszam, że żyję...”. Z tych rymów, w których znać biegną szkolne wersyfikacyjne, wygląda tu ku nam ktoś, kto rzeczywiście blisko otarł się o śmierć i komu po niedawnych doświadczeniach pozostało jeszcze sporo znużenia zabiegami o życie. Wyziera przecież z tych wierszy nie tylko satysfakcja z przetrwania naprękór żandarmowi, który „odwrócił się tyłem ufając mi zbyt...” ale i smutna gorycz, niesmak na wspomnienie przechodnia - rodaka, co „Niemcowi mnie wskazał, mrugając mu: — Żyd!...” Bo jedną z najszlachetniejszych cech talentu Minkiewicza jest zdolność ostrego widze-

nia najbardziej swojskich i rodzimych spacerów, ułomności i przywar, i rzadka umiejętność budowania z nich typów. Ten dar zapowiada nam już stary wierszyk o „Warszawskim Londyncyku”:

„Bez podania rąk się witasz
I tłumaczysz drogi snobie:
— W Anglii ręki nie podają...
Nie podają ale tobie.”

Ale dopiero w „Zawsze pierwszym”, i „Ciotce z sanacji” znajdujemy jego realizację w pełni uczuciowej i intelektualnej. Już nie londyński snob wysiaduje w kawiarni powojennej, nie drwiną zbywa satyrę tę nową odmianę anglosmian:

„Dziś niby nad posadką każdy z was
się gryzie,
Lecz siedząc po kawiarniach —
bezrobotnych klasa —
Marzycie o bezpłatnej do Londynu wizie:
„Za anglosasa — jedz, pij i popuszczaj
pasa!”
„Gdy dziś chcecie mnie wplatać
w nową waszą budę,

Gdy nie jeden z was jakąś „wspólnotą”
mnie mam —
Odpowiadam: w tę stronę albo
w tamtą pójde,
Może z tym, może z owym...
Z diabłem, lecz nie z wami!

Jest to już satyra gorzka, zjadła, namiętna — wynika nie z zabawy, nie z gry dźwięków i form, ale z świadomego widzenia. Pasja władza tu kunsztem z raz zdobytą łatwością.

Mam do tej książki stosunek tak poważny, bo dzieją się w niej sprawy poważne. Pisarz przeżył tu ogromną drogę, przeżył ją w świetnym stylu, uzyskał na niej najrzadszy sukces: świadomą formację talentu. Czyż trzeba jeszcze podnosić sukcesy bardziej zewnętrzne i stwierdzić, że wpływ Minkiewicza na współczesną satyrę polską jest rozstrzygający, i że echa jego rymów dźwięczą w każdym niemal produkcie gatunku, który sam posiadał w tak doskonałym stopniu?

Kazimierz Brandys

EDWARD CSATÓ

„Pan Damazy” na scenie łódzkiej

Najlepszym z dzieł Bliźnińskiego jest t. zw. komedia obyczajowa, malująca życie drobnej polskiej szlachty z początku drugiej połowy XIX wieku. Na marginesie tego obrazu powstawać mogą różnego rodzaju refleksje historyczno-społeczne; ale od razu widać, że nie są one istotne dla całości i jednolitości wizji artystycznej. Zarysowuje się tu może początkowa faza upadku ziemiaństwa, ale tak delikatnie i nieznacznie, że możemy o niej wnioskować z kilku zaledwie aluzji. W środowisku samego ziemiaństwa zresztą, od którego punktu widzenia Bliźniński nigdy nie odchodzi, zwiastuny przyszłej klęski przedstawiały się dopiero jako niezbyt jeszcze groźne trudności gospodarcze, na które się od czasu do czasu narzekało, ale z których w zasadzie nikt sobie nie robił; albo jak zrytualizowane humoryzowane postacie „pozytywistów”, głoszących jakieś nowe prawdy, których przeważnie nie rozumiano. „Sierotka” Mańka z tej komedii nie ma już na pewno nic wspólnego z problemem społecznym (bo byli i tacy, którzy ją o to posądzali), choć niewątpliwie jej los stał się ważnym elementem akcji dramatycznej.

Mamy więc komedię, która — całkowicie w guście swojej epoki — stara się dać wierny obraz współczesnego sobie życia i istotnie ten cel osiąga. Wydała mi się, że przy wystawianiu tego rodzaju utworu teatr również nie powinien wysilać się na jakiś „rewizjonizm”, który w zestawieniu z tekstem sztuki musiałby robić wrażenie nienaturalne. Tak samo, jak nie ma w „Panu Damazym” materiału na rewizjonizm społeczny, nie ma w nim również punktów zaczepienia dla jakichś nowatorskich prób formalnych. Pełne życia i charakterystycznych rysów postacie tej sztuki muszą jedynie zostać z należytą starannością opracowane pod względem psychologicznym, sytuacja zaś powinna być tak rozwinięta, aby ukazały pełny humor, jakim obdarzył je autor i jeszcze coś niecoś przydały do niego ze strony teatru. Poza tym można wymagać od tego spektaklu — jak od każdego — jednolitości wszystkich teatralnych elementów, składających się na widowisko.

Reżyseria Aleksandra Zelwerowicza znakomicie opracowuje utwór pod względem sytuacyjnym. Plastyka poszczególnych fragmentów akcji, ich wzajemne przenikanie się, sceniczne kontakty bohaterów sztuki pomiędzy sobą przeprowadzone są bezbłędnie w stosunku do tekstu, a poza tym odznaczają się ogromną werwą i pomysłowością, zawsze zaskakującą widza jakimś nowym efektywnym rozwiązaniem. Sam układ grupy postaci, znajdujących się każdorazowo na scenie, jest wnikliwie przemyślanym wyrazem stanu psychicznego tej grupy. Jeśli chodzi o psychologiczne opracowanie poszczególnych postaci, „Pana Damazego”, Zelwerowicz przede wszystkim sam daje przykład swoim ujęciem roli tytułowej. Zatrzymajmy się chwilę przy jego kreacji.

Realizm Zelwerowicza polega na precyzyjnym, imitującym wiernie życie, a jednocześnie twórczym opracowaniu szczegółów, stopnionych w jednolitą całość jakąś wewnętrzną pasją, niesłychanie wysoką temperaturą każdej roli. Pewna wybrana cecha kreowanej postaci staje się zawsze formą, w której owa pasja zastyga; w „Panu Damazym” formą taką jest dobrodusność bohatera. Zelwerowicz w opracowaniu głosowym, mimicznym, gestycznym swej postaci stale przejawia tenden-

cję podkreślenia tej dobrodusności. Gdy np. wybucha gniewem, oddaje się temu uczuciu z całym zapamiętaniem, czerwieniąc, biega gwałtownie po pokoju, podnosi głos do potężnego krzyku; ale równocześnie lekkim pochylaniem ciała naprzód i jeszcze lżejszym skurczeniem kolan, nadającym owemu biegowi jakiś trochę bezradny charakter, rozładowuje sytuację, kształtuje jej prosty a wzruszający komizm. Jego gniew jest potężny i najmniej wątpliwie autentyczny, ale forma tego gniewu jest dobroduszną. Albo gdy rejent usiłuje wzruszyć go swoją wymową, mówi mu: „Złutuj się pan, bo się roztopię z rozczulenia jak masło w tygielku i nie będziesz pan miał z kim gadać”. Ta rubaszna odpowiedź w innym wykonaniu bardzo łatwo mogłaby brzmieć gburowato. Zelwerowicz znowu wygłasza ją z całą energią, równocześnie jednak osłabiając jej ostrość przez powolne skandowanie poszczególnych wyrazów, podkreślone jeszcze ruchem miarowego klepania dionią po kolanie rejenta. Znowu prosty a mistrzowski obraz dobrodusności. I to powtarza się stale, w dziesiątkach scen, w każdym najdrobniejszym powiedzeniu. Sylwetka Damazego jest ciepła, komiczna, ale komizmem sympatycznym i głęboko chwytającym za serce.

Do gry Zelwerowicza powinna dostosować się reszta spektaklu nie tylko ze względu na jej czysto formalną doskonałość, ale przede wszystkim dlatego, że jest ona najbardziej trafna merytorycznie. Tutaj jednak muszę wysunąć pod adresem łódzkiego przedstawienia „Pana Damazego” pierwszy i jedyny poważny zarzut. Widowisko nie jest jednolite. Ani gra poszczególnych aktorów, ani dekoracje (O. Axera) — zresztą pełne inwencji i bardzo efektowne kolorystycznie i architektonicznie — nie tworzą jednego stylu. Dekoracje są uproszczone, nie imitują szczegółów szlacheckiego dworku z tamtej epoki, stwarzają wizję zdefiniowaną. Role aktorskie zaś nie są postawione w jednakowy sposób; każda z nich jest bezbłędnie i wyczerpująco zanalizowana psychologicznie, ale formy, w jakie się wyniki tych analiz przyoblekają, są odmienne. Raz operują stylizowanym skrótem, kiedy indziej bogatą w zewnętrzne szczegóły karykaturą, w jeszcze innym wypadku skupionym, syntetycznym rysunkiem psychologicznym. W zetknięciu z Zelwerowiczem jakoś się te różnice zmniejszają. Formy ekspresji aktorskiej grawitują na chwilę ku jego stylowi gry, aby później znów odbiec od siebie ku swoim pierwotnym kształtom; tak, że nieraz w jednym momencie mamy bogaty przegląd odmiennych stylów.

Mimo tej niewspółmierności były w tym przedstawieniu sylwetki niezwykle frapująco zarysowane. E. Kunina w kunsztowny sposób stworzyła postać chciwej i chytnej Żegociny. Figura ta w jej ujęciu posiada może trochę za wiele „ciężaru gatunkowego” i dlatego jej komizm jest mało gładki; ale to już wina odmiennych dyspozycji aktorskich wykonawczyń, która włożyła sporo wysiłku w pracę nad dostosowaniem się do formy widowiska. Najbardziej może zbliżona do zelwerowiczowskiego sposobu gry — trochę mniej tylko urozmaicona głosowo — jest postać pani Tykalskiej (M. Dąbrowska), pełna werwy, humoru i plastyki w rysunku psychologicznym. B. Fljewska z wielką żywiołnością, starannością i wdziękiem zagrała rolę Helenki; na prawdę doskonałe momenty miała zawsze w dialogach z Zelwerowiczem, bo poza tym można by zauważyć u niej, jeszcze pewnie nieopanowanie, wyrażające się w lekkim przesłonięciu ruchu i gestu.

S. Grolicki stworzył zabawną i zewnętrznie bardzo wyczekowaną karykaturę rejenta Bajdalskiego (może trochę zbyt natrętnie operując przerywającym tekst nieartykułowanym dźwiękiem eee...). A. Bogucki inteligentnie, z lekkością i humorem jedna sympatię widowni dla młodego Bajdalskiego — pozytywisty — w czym ma o tyle ułatwioną robotę, że z postacią tą sympatyzuje wyraźnie sam autor. A. Łapiński dowcipną stylizacją pokrywał braki charakteru fałszywego i egoistycznego Sewaryna.

Starannie opracowali swoje role również M. Koranówna (Mańka), T. Woźniak (Antoni) i J. Pilarski (lokalny Jan).

Edward Csató

EDWARD SZUSTER

DOBRE SERCE DOKTORA MUNTHE*)

„Księga z San Michele” zyskała przed wojną duży rozgłos. Nie miejsce tu na dociekanie przyczyn tego sukcesu, chcemy jedynie przypomnieć ostatnią książkę, Axela Munthea gdyż właśnie ósme jej wydanie pojawiło się na rynku księgarskim. Od pierwszych polskich edycji dzieł nas kilka lat bogatych w przeżycia, o jakich nie śniło się nawet doktorowi Munthe.

Podkreślić należy przede wszystkim, że czas, o którym mówią karty tej książki, oddalił się od nas bardzo. Pod koniec międzywojennego dwudziestolecia epoka omawiana przez Munthea należała do przeszłości niedawnej i świeżej; dziś jest to już historia. Pasteur, Guy de Maupassant, cesarzowa Eugenia i świat im współczesny, to dzieje stare z przed „tamtej wojny” jeszcze. Jedynie w starych, prętnowanych przez dziadka rocznikach Tygodnika Ilustrowanego, można się spotkać z tymi postaciami. Wszelkie akcesoria zewnętrzne tej epoki, to dziś już bibeloty w rodzaju owej „eleganckiej wiktoria” na czerwonych kołach zaprzężonej w piękną parę węgrów” jaką Munthe odwiedzał swych pacjentów w Rzymie. Egzotyka anachronizmu stała się w tej książce coraz silniejsza. I to nie tylko wobec materialnych rysów opisywanego czasu.

Pierwsza z licznych fotofotografii, jakie zdobią „Księgę z San Michele”, przedstawia autora wraz z jego ulubieńcem. Jest nim wielki owczarek alaski, wilk, jak potocznie nazywamy tę rasę psów. Nie tak dawno jeszcze mogliśmy oglądać wiele podobnych. Niemcy używali je chętnie do pomocy w służbie policyjnej, czy wartowniczej i przyznać trzeba, że psy te pracowały sprawnie. Oczywiście, wspomnienie to nie powinno obciążać i dyskredytować biednych zwierząt; tym nie mniej trudno nam w całej rozciągłości podzielać opinie Munthea wypowiedzianą słowami „pies to święty”. Zdanie to i cała sympatia autora do zwierząt, wydaje nam się przesadną, lub typową dla mizantropa. Coprawda nie zdziwiła by nas mizantropia u człowieka, które swe najlepsze lata spędził lecząc histeryczki lub wirtuozne damy fin de siecle, co zresztą na jednowychodzi. Ucieczka na Capri mogła by potwierdzać to przypuszczenie, zostaje ono jednak luźnym domysłem, gdyż autoportret Munthea pokazuje go raczej jako przyjaciela ludzi. Bardzo typowym dla epoki jest ów stosunek autora do otoczenia. Jest w nim najwięcej humanitaryzmu czysto

uczuciowego. Jalmużna w postaci datku, czy dobrego uczynku, zdaje się zaspakajać niewyraźne odczucie krzywdy społecznej autora, który w tych zagadnieniach nie bardzo różni się od panny Izabeli Łeckiej.

Bole się że tym ostatnim zdaniem skrzywdziłem nieco Munthea, wolę więc ustąpić mu głosu. Oto fragment rozmowy na temat „reform w społeczeństwie”, jak określa te kwestie spis rozdziałów. „Czemu rządy wszystkich państw wydają po tysiąc razy więcej pieniędzy na naukę o zabijaniu niż o lecenie? Dlaczego nie budujemy więcej szpitali zamiast kościołów?... Czemu budujemy tyle komfortowych gmachów przeznaczonych dla zawodowych bandytów i włamywaczy, a tak niewiele przytułisk (podkr. nasze) dla bezdomnych biedaków z dzielnic nędzy? — pyta autor. Nie rozpatrując wartości i wagi stawianych zagadnień stwierdzamy, że znajdziemy na nie jedynie ogólną odpowiedź. „Wiemy przecież wszyscy, że nadmierne gromadzenie bogactw bywa często zgrabnie zamaskowaną kradzieżą na szkodę nędzy... Umiejętność robienia ze wszystkiego pieniędzy jest zdolnością specjalną o bardzo wątpliwej wartości moralnej. Człowiek posiadający ów dar powinien być dopuszczony do życia czynnego pod warunkiem podziału zysków, jak to istnieje u pszczół, t.j. złożyć by musiał przyrzeczenia, że rozdzielać będzie duże plasty złocistego miodu pomiędzy tych, którzy zmuszeni są jeść suchy chleb codzienny”.

Naiwne są poglądy i reformy doktora Munthe. Nie będziemy się nimi dalej zajmować. Powiedzieliśmy już, że omawiana książka mówi o czasach należących do historii więc wydaje nam się rzeczą najsłuszniejszą traktować ją jako pewnego rodzaju dokument, zostawiony przez kulturalnego, zanego lecz niezbyt przenikliwego człowieka. Interesującą pokazał on nam swój czas i swe środowisko; umiejętnie opowiedział wiele zabawnych anegdotek, lecz nie wyciągnął z nich konsekwencji. W następnym po dobrym doktorze pokoleniu, ludzie typu Munthea, wrażliwi na nędzę, nie zadowala się współczuciem lecz poczną pracować nad usunięciem przyczyn tej nędzy. Edward Szuster

*) Axel Munthe, Księga z San Michele. Wydanie ósme z 18 ilustracjami. Wyd. Glastier, Lauter i Rutkowski. Warszawa 1946 Autoryzowany przekład Z. Petersowej.

KÓRESPONDENCJE

DO REDAKTORA „KUŹNICY”

W Nr 47 „Kuźnicy” zamieszczono list Jana Kotta, w którym ceniony przeze mnie wielce autor „Mitologii i realizmu” kwestionuje prawdę historyczną kilku zdań z drukowanej w nr. 46 „Kuźnicy” mojej prózy „Ucieczka z krainy Lambertów”. Kott twierdzi mianowicie, że jakkolwiek 3/4 łódzkiego przemysłu włókienniczego istotnie eksportowano na teren ówczesnego imperium rosyjskiego, to przecież surowce dla tej produkcji w żadnym wypadku nie pochodziły z terenów imperium, jak to piszę w mojej prozie. Nie będąc zwolennikiem głoszonej przez Jana Kotta teorii realizmu w literaturze, chciałbym mimo to sprostować błędne mniemanie Kotta na temat sprawy importu surowców t. zn. bawełny z terenów imperium rosyjskiego dla fabryk łódzkich. Sięgnijmy do pracy Dr Kurta Schweikerta: Die Baumwoll-Industrie Russisch-Polens, Ihre Entwicklung zum Grossbetrieb und die Lage der Arbeiter, Zürich und Leipzig, 1913.

Na str. 200 tej pracy czytamy (przekład polski mój): „Ogólne zużycie bawełny zagranicznej, środkowo - azjatyckiej (turkieskiej, chińskiej, bucharskiej etc.), kaukaskiej w roku 1894 — 174.873 pudy, w roku 1899 — 281.694 pudy... Ogólne zużycie bawełny rosyjskiej: 1894 — 700.724 pudy, 1899 — 1.028.869 pudy...” Dane te dotyczą przemysłu w okręgu łódzkim. Następnie na str. 201 op. cit. czytamy: „Okręg piotrkowski pokrywał w roku 1894 prawie połowę swego zapotrzebowania przy pomocy bawełny azjatyckiej, t. zn. rosyjskiej oraz bawełny perskiej...”

Na tej samej stronie czytamy dalej: „Zużycie rosyjskiej - azjatyckiej bawełny w głównych ośrodkach przemysłu włókienniczego w Polsce w roku 1893 było w stosunku do ogólnego zużycia następujące: Pabianice i Zgierz — 30 proc., Łódź — 40 proc., Bezdzin — 45 proc...”

Wreszcie wiadomość, podana przez autora tegoż dzieła, która całkowicie pokrywa się z treścią i intencją moich kilku kwestionowanych przez Kotta zdań: „Zakłady oczyszczania bawełny (w oryginale: Entkernungsanstalten; mowa tu o terytorium należącym do Rosji Turkiestanu — przyp. mój) należały przeważnie do rosyjskich i polskich tkalni. Towarzystwo Akcyjne „Zawiercie” i „Poznański” (wielkie zakłady włókiennicze łódzkie, które miałem na myśli w kwestionowanych przez Kotta zdaniach — przyp. mój) posiadały własne zakłady oczyszczania

bawełny w Ferganie, Bucharze i Azji Środkowej”.

Wyżej przytoczone cytaty z pracy specjalisty stanowią poważny dowód na niekorzystność mojego oponenta i całkowicie upoważniają mnie do pozostawienia kwestionowanych przez niego zdań w tej formie, w jakiej zostały napisane.

W nadziei, że ten zbyt pochopny atak mojego Szanownego Kolegi i moja krótka odpowiedź posłużą specjalistom jako pretekst do autorytatywnego rozstrzygnięcia kwestii, w której obaj możemy zabierać głos jedynie jako laicy, pozostaje z poważaniem

Paweł Hertz

Łódź, 26 listopada 1946 r.

Do

Redakcji Tygodnika „Kuźnica”

w miejscu

W związku ze sprzeciwem, wniesionym przez kol. Jana Kotta od wyroku w sprawie z kol. Marianem Piechalem, Sad Koleżeński ZZLP. Oddział w Łodzi uprzejmie prosi Redakcję o wyjaśnienie, czy kol. Jan Kott był upoważniony do złożenia oświadczenia na Konferencji prasowej, że Zespół „Kuźnicy” nie będzie współpracował z Rozgłośnia Łódzka, dopóki kol. Piechal pracuje w Radzio.

Z koleżeńskim pozdrowieniem
(—) Wł. Rymkiewicz

Do

Sądu Koleżeńskiego ZZLP
Oddział w Łodzi

w miejscu

W odpowiedzi na list kolegi Władysława Rymkiewicza z dnia 1 listopada 1946 roku redakcja „Kuźnicy” stwierdza:

Po pierwsze, że kol. Jan Kott był upoważniony przez zespół „Kuźnicy” do złożenia oświadczenia w dniu 22 stycznia b.r., że zespół „Kuźnicy” nie będzie współpracował z Polskim Radiem, ze względu na obecność w nim kierownika literackiego ob. Mariana Piechala.

Po drugie, że Sad Koleżeński ZZLP Oddział w Łodzi wydając orzeczenie w sprawie wyżej wymienionej nie porozumiał się z zespołem „Kuźnicy”.

Redaktor Naczelny
Stefan Żółkiewski

TREŚĆ NUMERU 47:

Kazimierz Sokółowski — Gospodarka Odbudowy. Stanisław Sreniowski — Najnowsze dzieje chłopów w Polsce 1918 — 1946 (II). Piotr Borowy — W Jugosławii. Paweł Hertz — Ucieczka z krainy Lambertów. Jan Kott — Stosunki kulturalne polsko - francuskie. John Bertlow Martin — Pierwsze powojenne lato miasta Muncie. H. E. Michalski — Stanisław Ryszard Dobrowolski: „Pióro na wicherze”. Kazimierz Brandys — „Kobiety z Limbach”. Stefan Otwinowski — W Krakowie. Przegląd prasy. Noty.

PRZEGŁAD PRASY

Odyby katolik zapytał laika - demokrate i postępowca: czy sprzeciwiasz się wierze? otrzymałby zapewne odpowiedź: Nie jestem sam wierzący, pieram swoją wiedzę o świecie na dotychczasowych osiągnięciach nauki i na doświadczeniu, uznając żarliwość twojej wiary, ale wobec tego, że ważniejsza jest dla mnie twoja postawa wobec konkretnych zagadnień, niż wnętrze twojej duszy, więc prawdę twojej wiary sprawdzam według tego, w jaki sposób zamierzasz rozstrzygnąć te zagadnienia.

Wydaje mi się, że taka wymiana zdań między intelektualnymi ośrodkami myśli postępowej laickiej i katolickiej, zapobiegłaby błędnemu mniemaniu, że laicy postępowcy zwalczają katolików za ich wiarę. Należałoby precyzując sprawę konfliktu między dwoma aktywnymi obozami współczesnej myśli polskiej, stwierdzić, że postępowcy obozu laickiego zwalczą tylko poglądy pewnych kół katolickich na sprawy polityczne i bardzo ziemskie. Nie owijajmy sprawy w bawełnę i powiedzmy otwarcie: taktyka pewnych kół katolickich w sprawach politycznych i społeczno-ekonomicznych jest niezgodna z interesami najszerzej pojętego postępu. I dlatego ataki laickich ugrupowań postępowych, wymierzone przeciwko czynnikom hamującym postęp, uderzają jednocześnie w katolicki sztyl. Historia lat międzywojennych, a także okres okupacji faszystowskiej w krajach Europy, uczy nas, że wtedy, gdy wstępnictwo społeczne i polityczne znajduje się w silnej ofensywie, wachlarz jego śmiertelnych wrogów powiększa się właśnie o ugrupowania katolickie o najbardziej nawet umiarkowanym programie społecznym. Widelśmy to w Hiszpanii, gdzie baskijscy księża walczyli przeciwko reżimowi Franco u boku komunistów i socjalistów, widelśmy to samo w Niemczech do roku 1939, gdzie prześladowania katolików przeplatały się z masowymi aresztowaniami komunistów i demokratów. Z historii nachu Oporu we Francji wiadomo nam, że dwa tylko ośrodki polityczne potrafiły oprzeć się moralnej korupcji i walczyć z faszyzmem: lewica i katolicy. Nauka, która płynie z tej lekcji historii, bywa najczęściej zapomniana przez katolików nazajutrz po wspólnej z laickimi postępowcami i demokratami odniesionym zwycięstwie. Nie dzieje się to oczywiście przypadkiem. Między przezwyciężeniem faszystów i decyzją przystąpienia do pozytywnej pracy nad odbudową zniszczonych form życia ekonomicznego i społecznego leży wielki kamień, o który, jak znów nas o tym uczy historia ostatnich dwóch lat powojennych, potyka się znaczna część zwolenników katolickiego światopoglądu. Ta przeszkoda jest stosunek do metod i zakresu reform społecznych i ekonomicznych.

Wydaje mi się, że treść licznych artykułów i wypowiedzi prasy katolickiej potwierdza istnienie tej przeszkody. Znakomita ich większość, mimo katolickiego sztylu, gra widać wyraźnie ku określonym platformom, które w języku politycznej publicystyki można by określić jako konserwatywne, wsteczne, niechętnie postępowi. W języku dyskusji parlamentarnej moglibyśmy bezwzględnie stwierdzić, że ze szpału „Tygodnika Powszechnego”, „Tygodnika Warszawskiego” i innych leje się woda na młyn szeroko rozumianej reakcji politycznej. Nie są to prawdy nowe, ani pierwsze, ale chętnie je powtarzamy, bo są słuszne.

Dlatego też jest zjawiskiem niewątpliwie pocieszającym, że istnieją pisma katolickie, które nie tak chętnie jak inne zatrzymują się przy przeszłości, spełniając dewizę: hic Rhodus, hic salta, jeśli nie skaczą przez nią, to przynajmniej starają się zdać z niej sobie sprawę, po to, by ją przekroczyć. Myślę tu o tygodniku „Dziś i Jutro”.

Oczywiście, wobec całkowicie rozbieżnych punktów wyjściowych, nie zawsze możemy się zgodzić na postulowane przez „Dziś i Jutro” tezy. Za to na pewno możemy uznać za słuszne wszystkie wysiłki publicystów tego pisma, okazywane w walce z absenteizmem i „pesymistycznym antyreformizmem”. I to właśnie jest ową wąską kładką porozumienia, jaka została z inicjatywy obopólnej przetrzecona między dwoma obozami po to, by wspólnymi siłami i starając się unikać kompromisu w sprawach natury teoretycznej, stworzyć podstawy do ewentualnego porozumienia się w sprawach ziemskich. „Dziś i Jutro”, w oczach rozumiejącego to, co czyta czytelnika, jest pismem katolickim, na którym najmniej wyraźnie odbija się imprimatur wysokich władz Kościoła. Gdy w nr 46, w artykule wstępnym, poświęconym rocznemu jubileuszowi pisma, ks. Eugeniusz Dąbrowski, zastanawiając się nad tym, jaki kierunek w ramach katolicyzmu reprezentuje „Dziś i Jutro”, odrzuca pokolei wszystkie przymiotniki katolicyzmu, a wraz z nimi i przymiotnik „radikalny”, musimy to traktować raczej jako posunięcie taktyczne redakcji, która nie zamierza programowo rozbić rzekomej jednolitości ruchu katolickiego w Polsce. Ale gdy w tym samym artykule czytamy o postawie tych kół katolickich, które reprezentuje „Dziś i Jutro” wobec zagadnień laicyzacji, to musimy stwierdzić, że ton tych słów jest zupełnie inny, niż w dwóch pozostałych tygodnikach, a mianowicie „modus vivendi” w odniesieniu do regulacji stosunków między państwem demokratycznym, a Kościołem ma też inną wymowę, niż gwałtowne „nie pozwalam” „Tygodnika Warszawskiego”. Termin ten świadczy o dobrej woli i o zrozumieniu realnych, konkretnych warunków historycznych.

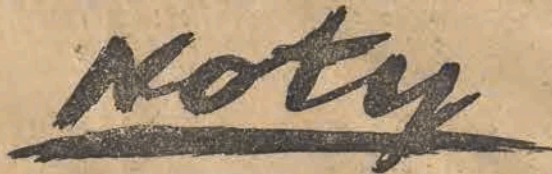
Nasz pozytywny (w ramach żyjącego rozumienia przeciwnika) sąd o roli „Dziś i Jutro” w obecnej sytuacji politycznej kraju, utwierdza jeszcze mocniej lektura artykułu Bolesława Piaseckiego („Walka o odpowiedzialność”), który stanowi zapewne credo politycznej taktyki reprezentowanego przez pismo środowiska katolickiego. Artykuł ten podsumowuje roczny bilans politycznej orientacji pisma, Piasecki trafnie charakteryzuje gatunki istniejącej w Polsce opozycji i stwierdza, że pierwsze dwie: „opozycja demonstrująca” i „opozycja polegająca na politycznym i moralnym absenteizmie, są szkodliwe i bezużyteczne dla sprawy odbudowy zniszczonych przez okupację form życia narodowego. Piasecki formułuje wreszcie platformę opozycji trzeciej, którą reprezentuje jako najwybitniejszy publicysta swego obozu. Ta opozycja, jeśli chce mieć jakikolwiek wpływ na sprawy państwowe, musi, jak pisze Piasecki, „w sposób szczerzy i przemysłany uznać za rację stanu potrzebę sojusznictwa z Związkiem Radzieckim, konieczność aktywnej odbudowy kraju i zagospodarowania ziem zachodnich, zasadę radykalizmu społecznego w gospodarce narodowej”. Tezy te, jak wiadomo, pokrywają się w zasadzie z programem tych, wobec których grupa „Dziś i Jutro” stoi w opozycji. Różnica, jak sądzę, polega na odrębności metod realizacji wspólnego planu, a nie na różnicach konsekwentnie z odrębności ideologii politycznej i materialistycznej. Mimo to jednak sprawy ziemskie na wielu odcinkach mogą być załatwiane bez szkody dla samej teorii. Wreszcie w tym samym numerze pisma Witold Biełkowski w artykule „Rok pracy i nauki”, stwierdzając, że „radikalny kierunek społecznej i politycznej myśli katolickiej, reprezentowany przez „Dziś i Jutro”, zyskał prawo obywatelstwa w polskim społeczeństwie katolickim”, omawia roczną działalność pisma i wskazuje na to, że „rozpoczął się już proces wyjścia z biernego tradycjonalizmu katolickiego”. Te dwie wypowiedzi czołowych publicystów „Dziś i Jutro”, upoważniają nas niewątpliwie do następujących stwierdzeń: że między społeczno-politycznymi poglądami katolików zgromadzonych wokół „Dziś i Jutro”, a poglądami wypowiadającymi na szpalach innych pism katolickich istnieje poważna różnica, wyrażająca się w tym, że grupa „Dziś i Jutro” walczy z tradycjonalizmem, konwencjonalizmem społecznym i biernością katolickich mas, że w swoim programie „pozytywnym” „Dziś i Jutro” wskazuje wyraźnie na radykalizm społeczny, jako kierunek zgodny z doktryną Kościoła Katolickiego. To też nie pomyśleliśmy napewno, jeśli wybierając między autorytetem autora wstępnego artykułu, ks. Eugeniusza Dąbrowskiego, który zaprzecza, jakoby „Dziś i Jutro” reprezentowało „katolicki radykalizm”, a wypowiedziami dwóch czołowych publicystów tego pisma na rzecz radykalizmu społecznego, stwierdzając dla spokoju własnego sumienia i dla orientacji moich czytelników, że „Dziś i Jutro” reprezentuje radykalny kierunek myśli katolickiej i że ta właśnie odważna na naszym gruncie, choć często obca nam zupełnie postawa, stwarza jedynie możliwą platformę porozumienia między lewicą i katolikami dla wypełnienia konkretnych i realnych zadań: polepszenia i uśzlachetnienia warunków życia ludzkiego na tej ziemi.

Zaniedbując z okazji czterdziestego jubileuszu w naszej prasie periodycznej zwykłą pracę kronikarską dla bardziej wyczerpujących omówień i analiz poszczególnych pism, pozostawiam chwilowo na uboczu omawianie oddzielnych pozycji w wielu tygodnikach literacko-społecznych. Aby luka ta nie była zbyt wielka, chciałbym odnotować niektóre przynajmniej artykuły.

W dwóch kolejnych numerach „Odrodzenia” znaleźliśmy kilka prac, zasługujących na lekturę: w nr. 46 „Przedmowa do drugiego wydania „Doświadczeń” Adolfa Rudnickiego, gdzie autor opisuje kłopoty pisarza usiłującego pisać prawdę o wojsku w roku 1939. Dalej — analiza wyborów amerykańskich i francuskich przeprowadza Konstanty Grzybowski („Za Oceanem i nad Sekwaną”). W tym samym numerze podano obszerne i wyczerpujące streszczenie wyników ankiet rozpisanej przez organ katolików francuskich „Esprit” na temat „Świat chrześcijański, a świat nowożytny”. W nr. 47 o pracach konserwatorów i uczonych, którzy przywracają dawne formy architektoniczne zabytkom na Ostrowie Tumskim w Poznaniu pisze interesująco Franciszek Gil. Topografię współczes-

szej literatury francuskiej, uwidaczniając nurtujące w niej prądy i problemy, kreśli Artur Sandauer w artykule „Literatura fatalistyczna”. Sandauer stwierdza, że: „literatura francuska zdaje się obecnie przechodzić okres tragiczny. Z kłęski postawy waleryowskiej wynika świadomość, że niesposób umieścić się w pozycji nadzórnej wobec świata, że, żyjąc, należy wybrać. Lecz wybór pozostaje nieokreślony, hierarchia wartości — zachwiana, świat — niezrozumiały”. Kazimierz Bran-

dyś w studium Przyjaciele z „Kuzni Młodych” daje gmatawną analizę środowiska młodzieżowego w Polsce, skupionego początkowo wokół sanacyjnych organizacji „Straż Przódni” i „Legion Młodych”, środowiska, które wobec narastających konfliktów społecznych i odrzucenia pseudodemokratycznej maski przez ugrupowania rządzące, uległo procesowi charakterystycznego rozpadu i naturalnej segregacji na lewą i prawą stronę politycznej barykady.



Wielki kapitał

Senat amerykański ogłosił statystykę, ujawniającą skoncentrowanie przemysłu amerykańskiego w rękach wielkiego kapitału.



W chwili ukończenia działań wojennych 80 proc. linii komunikacyjnych kontrolowane było przez 45 przedsiębiorstw transportowych. 80 proc. akcji instytucji użyteczności publicznej znajdowało się w rękach 40 towarzystw. 81 i pół proc. akcji wszystkich towarzystw ubezpieczeniowych było w posiadaniu 17 towarzystw, 29 proc. banków amerykańskich należy do 8 rodzin.

Ekskomunika

Święta Kongregacja rzuciła ekskomunikę na dyrektora, redaktorów i współpracowników rzymskiego tygodnika satyrycznego i kłopotliwego „Don Basilio”. Gazety rzymskie podały wiadomość bez komentarzy, jedynie „Avanti” zauważyła, iż swoją najcięższą broń Watykan mógłby z powodzeniem użyć w innych okolicznościach. Kiedy wojska niemieckie okupowały Rzym, nikt z członków Świętej Kongregacji nie zastanawiał się nad rzucającym w tym czasie ekskomunikę, która miałaby napewno większe znaczenie, aniżeli rzucającą jej na mało znaczący tygodnik satyryczny.

„Don Basilio” występował przeciwko wygodnemu życiu kościoła i mieszaniną się księży do polityki.

Czas nagli

W liberalnym dzienniku „News Chronicle” ukazał się artykuł pod wzruszającym tytułem: „Gwiazdka w Niemczech”. Czytamy w nim między innymi:

„Nie ma czasu do stracenia. Należy czym prędzej przesyłać paczki świąteczne dla Niemców na ręce żołnierzy brytyjskiej armii okupacyjnej, która zajmie się ich rozdawnictwem i jeżeli ludność Wielkiej Brytanii wysłała te paczki do poszczególnych oddziałów brytyjskich, to nikt nie będzie szczęśliwszy od żołnierza brytyjskiego, jeżeli będzie mógł urządzić przyjęcie gwiazdkowe dla dzieci niemieckich”.

Wysuwając projekt uszczęśliwiania Niemców na gwiazdkę przez ludność Wielkiej Brytanii, pismo powołuje się na fakt, że w czasie wojny żołnierze amerykańscy, stacjonowani na Wyspach Brytyjskich, rozdawali podarunki świąteczne dzieciom angielskim. Był to, zdaniem „News Chronicle” doskonały przykład, jak należy umacniać i utrwalać przyjaźń.

Dwa listy

Do Redaktora „Kuznicy” w Łodzi.

Szanowny Panie Redaktorze! W 44 numerze „Kuznicy” spotkaliśmy w artykule p. Brezy pt. „Jeśli nie powieść, to co?” wyrażenie „rozległa akustyka czasowa” (5 w. od k.). Uczono nas już w szkole, że wyrazów należy używać z umiarem a na łamach Pańskiego pisma czytaliśmy niejednokrotnie wskazania o używaniu pojęć dających się jednoznacznie zdefiniować. Ponieważ w tym wypadku podejrzewamy jakieś metafizyczne skojarzenie, możemy nam p. Breza zdefiniować pojęcie „rozległej akustyki czasowej”.

Grupa Studentów Politechniki Warszawskiej

Do Grupy Studentów Politechniki Warszawskiej. Szanowni Obywatele!

Już w szkole uczono Was zapewne, że istnieją okoliczności, w których dla pewnych

celów pewni ludzie zastępują określenia naukowo poprawne — innymi: jak np.: „Słoneczko, piękne oko, dnia oko piękne!” zamiast: „O, piękne ciało główne układu planetarnego, podobne zdaleka do gałki ocznej”. Ci ludzie nazywają się pisarzami, cele — ekspresją artystyczną, okoliczności — literaturą, a sama rzecz — metaforą. Jeśli uczono Was greki wiecie bezwzględnie, co oznacza to słowo. Z jego treści wynika, że dla osiągnięcia plastyki wyrazu w sztuce pisarskiej winno przenosić znaczenia jednego zakresu w dziedzinę znaczeń zakresu innego. Samolot nie jest ptakiem, ale wolno o nim napisać „srebrny ptak”, mimo, że nie znosi jaj, z których wylęgają się żółtodzioby.



Wyrażenie użyte przez Tadeusza Brezę jest metaforą. Uczono go w szkole, że akustyka jest zjawiskiem przestrzennym, ale uczono go również o tym, co to jest przenośnia i że literatura od fizyki różni się tym samym, czym okres stylistyczny od definicji naukowej.

kb.

Brak kierownika literackiego

Na walnym zjeździe delegatów Zw. Zawodowców Literatów Polskich, dyrektor departamentu teatrów ob. Rusinek złożył oświadczenie, że Ministerstwo zażądało, aby wszystkie teatry miały kierowników literackich, należących do Związku Zaw. Literatów. Zasada ta została jakoby zrealizowana całkowicie. Chcielibyśmy wierzyć temu oświadczeniu, niestety, fakty temu przeczą. Teatr Kameralny Domu Żołnierza w Łodzi odbywa się w ogóle bez kierownika literackiego, gdyż dyrekcja tego teatru uznała to za zbędny luksus. Skutki nie dadzą na siebie czekać. Świadczy o tym inscenizacja „Majora Barbary” Bernarda Shaw. Utalentowany młody reżyser Akser nadał decydującym partiom ostatniego aktu wydźwięk zaciemniający intencje autora. Utalentowana artystka Mrozowska wygłaszała w najlepszej wierze kwestie, które Shaw traktuje ironicznie. Nieporozumienia te nie dotyczą ujęcia teatralnego, ale literackiej analizy tekstu i powiązań ideologicznych, co jest zadaniem właśnie kierownika literackiego. Lekceważenie służbnych dezyderatów Ministerstwa wydaje się tym dziwniejsze, że Teatr Kameralny w Łodzi ma poważne aspiracje artystyczne.

RKM.

W 21 Stanach Amerykańskich wprowadzono zaciemnienie z powodu braku węgla



„Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie? co to będzie!”

Redaguje: Zespół „Kuznicy”. Wydawca: Zespół „Kuznicy”.
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENY OGŁOSZENI: Kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000. — Drobne ogłoszenia 25 zł za 1 mm na 1 szpalcie.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, Żwirki 4. D-01209